ROLA

Rok VI. Kraków, dnia 15 września 1912 r. Nr. 37.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Stefan Batory

(zdobywa Wielkie Łuki
we wrześniu 1580 r.).

Z pomiędzy królów, wielkich bohaterów,
Którymi Polska jaśniała przed laty,
Stefan Batory, jak gwiazda wśród wirów,
Błyszczy w historyi, w polskie odzian szaty.

O bo ta Polska, jak okręt na morzu,
Potrzebowała swojego sternika,
By nią kierował na owem rozdrożu,
Kiedy się nawa z bałwany boryka...

Ród Jagiellonów już wymarł na tronie,
Elekcya przecie wybrać króla musi;
I tak po krlóa każdoczesnym zgonie
Niejeden królik o tron się pokusi.

Henryk Walezy, pierwszy król wybrany,
Niewiele przyniósł krajowi pociechy;
I tak elekcya doszła w opłakany
Zamęt bez wyjścia za swe liczne grzechy...

Kiedy Walezy „zrobił z Polski nogę",
Stefan Batory ujął ster w swe dłonie
I wskazał Polsce oświetloną drogę,
Wiedząc, że w innych szlakach wnet utonie...

A więc też gromił najezdzców - Moskali,
Aż do papieża ślą obłudne prośby,
By ich Polacy więcej nie smagali
I zaprzestali tej wojennej kośby.

A oni za to wierni papieżowi,
Przejdą na łono wiary katolickiej —
I zaufano temu niedźwiedziowi,
A on pozostał dotąd w szyzmatyckiej...

Hej! Wielkie Łuki jeszcze pamiętają;
Jak on tych wrogich poskromił Moskali —
Gdy się w Polocku wcale nie poddają,
Chop, Wąs Walenty łuczywem ich pali!

O królu wielki! czyliś też Ty sądził,
Patrząc na krain rozległych swych mapę,
Że Bóg inaczej w swych wyrokach zrządził,
Niedźwiedź położy na Polsce swą łapę?!

Czyliś przypuszczał, że za polską szczerość
Taka ją czeka nagroda w przyszłości,
Że górę weźmie ich obłuda i złość,
Miast prawdy Bożej i sprawiedliwości?!

Ale niedługo tryumf świecić będzie
To kłamstwo wrogów i ich złość przewrotna:
W tej próbie ognia i cierpień osiędzie
Prawda i chwała Polski górnolotna!...

Adam Jesionek.

Bolesław Zygmunt Gnoiński.

ROK 1813.

Z dziejów wojska polskiego.

III.

Jak wspomnieliśmy przedtem, już 8 lutego 1813 r. wojska rosyjskie zajęły Warszawę, jednakże nie była to cała armia Aleksandra I, gdyż większa jej część prawie jednocześnie ścigając Napoleona pod dowództwem naczelnego rosyjskiego wodza Kotuzowa, przeszła rzekę Niemen, gdzie na pruskiej ziemi z radością została przyjęta przez wojska pruskie.

Cesarz Aleksander, podzieliwszy swą armię na dwie części: jedną pod dowództwem generała Miłoradowicza, przeznaczył do zajęcia Księstwa Warszawskiego, drugą pod wodzą Kotuzowa, do marszu przez Prusy Królewskie na Bydgoszcz, Poznań ku granicy Saksonii, dokąd także dążyły na nowo zebrane wojska Napoleona z Francyi na Gandawę, Fiberfeld i Kassel.

W tym prawie czasie wojsko polskie posuwało się w stronę Krakowa, prowadzone przez niezmęczonego żadnymi trudami miłośnika swej ojczyzny, drogiego dla naszej pamięci wodza, księcia Poniatowskiego, w towarzystwie barona Bignona, mianowanego ministrem pełnomocnym francuskim przy rządzie Księstwa Warszawskiego w styczniu 1813 roku.

Książę Józef chwilowo zatrzymał się z wojskiem w Wolborzu, miasteczku o dwie mile oddalonem od Piotrkowa, i wysłał stamtąd swego oficera rozkazem do komendanta twierdzy w Zamościu.

Otóż nazajutrz, szykując się do marszu w dalszą drogę, przywołał majora Józefa Aksamitowskiego, nieodstępnego swego przyjaciela, sekretarza i skarbnika, wyrażając obawę, czy aby z porucznikiem Leszczyńskim nie stanie się jaka przygoda gdzie w drodze, i czy rozkazy dojdą rąk właściwych, motywując swą obawę, jakiemś złem przeczuciem.

Aksamitowski, jak mógł, tak uspokajał księcia, aby się zbytecznie nie troszczył, gdyż porucznik ten jest człowiekiem, który nawet w najbardziej krytycznej chwili potrafi sobie poradzić.

Tymczasem po owym napadzie na wieś Starą, z pod żłobu w stajni, gdzie stały konie ułanów, wypełzł zraniony w policzek kulą wachmistrz Krawczyk, smutnie spojrzał na leżących we krwi pobitych towarzyszów, poczem, zrobiwszy nad nimi znak krzyża świętego, jął ostrożnie wychodzić na podwórze i podobnie, jak lis osaczony psami, wychodząc ze swej kryjówki, bacznie rozglądał się na wszystkie strony, czyli mu nie grozi jakie niebezpieczeństwo.

Z przestrzelonego policzka płynęła mu obficie krew, a blada jego twarz dowodziła, że cierpiał bardzo. Podpierając się na pałaszu, stary wachmistrz wszedł do dworu. Tu było pusto i głucho. W czeladniej, w kuchni i w pokojach, przez które szedł, były poprzewracane sprzęty, a zapach spalonego prochu, oraz kłęby dymu unosiły się tumanami po całym domu.

— Boże! — rzekł sam do siebie Krawczyk — zabili go, czy też schował się gdzie, lub czy wzięty do niewoli?

Z temi słowami doszedł do pokoju, w którym miał kwaterę jego porucznik. Prowadzące tutaj drzwi były wyrwane z zawias i w części porąbane. a obok nich leżały rozciągnięte dwa trupy kozaków.

— No i tu go nie ma? Biedny porucznik, to już w takim razie wzięty do niewoli, ażeby go tylko gdzie nie zmarnowali, boć uciec nie będzie miał chyba możności.

W chwili, gdy wachmistrz tak do siebie mówił, do pokoju tego wszedł dziedzic, który wydostawszy się ze swej kryjówki w czworakach, pierwszy przyszedł zobaczyć wyrządzone w mieszkaniu straty, te jednak na tem tylko polegały, że narobiono nieporządku, lecz nic nie zabrano, z czego można było wnioskować, że szukano tylko wiezionego przez sztafetę rozkazu.

W pierwszej chwili dziedzic oczom swym nie chciał wierzyć, zobaczywszy wachmistrza, miał go bowiem za niechybnie zgubionego, słysząc rozlegające się strzały w oborze.

— A wy co tu robicie, panie wachmistrzu? — zapytał.

— To, co każdy by robił na mojem miejscu, panie dziedzicu — odrzekł Krawczyk, spoglądając smutnie, a ze znacznego widać upływu krwi opierając się o wywrócony stół.

— Jakże to, darowali wam życie? — pytał zdziwiony ciągle dziedzic.

— Hm, byliby może i nie darowali, ale ja zaraz po pierwszym do mnie strzale, choć rozumu nie straciłem, to zaraz, na ten przykład, buch do góry nogami pod żłób i musiałem udać, że to niby dusza ze mnie wyleciała, a choć nie ze strachu to zrobiłem, bo jeszcze tego w świecie nikt nie słyszał, żeby się ułan polski czego obawiał, ale takżem sobie wtedy pomyślał: dla tych papierów, co mi porucznik kazał w zanadrze schować, trzeba udać, żem już zabity, bo na wypadek śmierci porucznika, musi je przecie kto, wedle rozkazu, do rąk należnych odwieźć.

— Nie kwapiłem się też biedz na pomoc swemu naczelnikowi — ciągnął dalej — bo mi zaraz wyraźnie przed oczami stanął paragraf wojenny: gdy potrzeba dla dobra ojczyzny wymaga, to i generała trzeba poświęcić, na to rady nie ma. Bez jednego oficera wojna być może, a ze straconego rozkazu to się takiej biedy może nawarzyć, że i w samem piekle kotłów na nią braknie. Że zaś boli mnie starego serce, jako żem stracił drogiego pana, który mi droższy od rodzonego ojca, to zupełnie co innego: będę prosił choćby samego generała dywizyi, aby mi szukać pozwolił to biedne moje paniątko. Boć to przecie mój dobrodziej, mój wybawca od śmierci, kiedym w bitwie pod Borodino, ranny w bok spadł z konia, i do tego łbem tryknął o koło przejeżdżającej armaty, to on przez dwa tygodnie dźwigał mój stary szkielet i przenosił na własnych rękach z pryczy na pryczę.

— No, ale papiery macie, panie wachmistrzu, i nie zginęły, Bogu dzięki?

— Adyć mówię, że są u mnie w zanadrzu; nasz porucznik nie był w ciemię bity, kazał, żebym ja je miał przy sobie, bo to, powiada: dyabeł nie śpi, jeszcze kogo naprowadzi, a z pewnością ten, coby je chciał odebrać, przyczepi się do oficera i koło niego będzie szukał.

— Papiery — ciągnął dalej wachmistrz — dojdą tam, gdzie należy, jakem wchmistrz, ale to biedne paniątko dopiero się martwi, jeśli go gdzie na pytki biorą, żeby się nie zaprzepaściły, i więcej z pewnością to go boli, jak zadawane mu męczarnie.

Nagle spojrzawszy na zegar, wykrzyknął:

— Boże wszechmogący! A toć to czwarta godzina, komu w drogę, temu czas, trzeba sypać dalej, jeno będę prosił bardzo pana dziedzica, żeby choć temu, co krowy leczy, kazał mi opatrzyć pysk, bo bardzo boli.

W tej właśnie chwili weszła dziedziczka z panną Zofią, której widocznie nie tyle chodziło o rozrzucone meble, ile że dowiedziała się już od zebranych gapiów naokoło dworu, iż porucznika zabrano do niewoli.

Młode dziewczę zaledwie kilka godzin obcowało z pięknym młodzieńcem, jednakże ten pozostawił w jej szlachetnej duszy to uczucie, jakie rozpoczyna prawdziwą miłość. Wszystkiem przeto gorąco się interesowała, pytała wachmistrza, kto są rodzice porucznika, gdzie mieszkają, aby im dać znać o tem i czy nie ma jakiego sposobu wybawienia go z rąk kozaków. Ale Krawczyk na wszystkie pytania odpowiadał przecząco, że teraz na razie mowy być nie może o odebraniu niewolnika i że nic nie wie o stosunkach jego rodzinnych, gdyż młody porucznik dwa lata dopiero razem z nim służy i nigdy nie widział, żeby kto do niego przyjeżdżał z rodziny, choć pomiędzy szwadronem krąży wieść, jakoby ród swój wywodził może lepiej jak z hrabiowskiego domu.

— A co to jest za dobry pan, a jaki uczciwy, a jaki szlachetny, jaki mądry, to chyba w całej dywizyi podobnego trudno znaleść. Codzień, po skończonych zajęciach szwadronu, gdy mu odnoszę sporządzony przezemnie raport, to starego zawsze dobrem słowem przywita i pożegna — mówił wachmistrz. — A jak co zrobić po jego duszy, to i parę złotych nie pożałuje, bo pieniądze zawsze ma, i to grube, gdyż mu ich jakiś pan co kwartał z Poznania bardzo dużo przywozi, przez to i na żołd nie patrzy, jeno przeznacza na chorych żołnierzy.

Po tych słowach Krawczyk skłonił się dziedzicowi, oraz podziękował pannie Zofii za opatrunek, który mu zrobiła podczas tej rozmowy i już się zabierał do wyjścia.

— No, a jakże to piechotą chcecie panie wachmistrzu w drogę ruszać — zapytał dziedzic — a toć na to nie pozwolę. Bogu dzięki! nie zabrali mi kozacy koni i myślę, że się znajdzie jaki, co się przyda na służbę wojskową.

W kilka chwil później wachmistrz odjechał, a ponieważ droga wypadła mu obok karczmy, więc wstąpił wypić manierkę, aby pokrzepić siły w dalszą drogę.

Już było słońce zaszło na dworze, brał na noc mróz, który też ściągał wieśniaków do karczmy na rozgrzywkę. Z gawędy chłopów w karczmie wachmistrz dowiedział się, że na małą godzinę przed napadem na dwór wypadł z karczmy jakiś pan, i tak ostro pędził bryką przez wieś, że o mało ratajowej nie przejechał.

Usłyszawszy to Krawczyk zapytał żyda, jak wyglądał ów przejezdny, poczem, zwracając się do obecnych, przemówił:

— Słuchajcie arendarzu i wy dobrzy gospodarze, jak się przypadkiem zjawi ten pan jeszcze raz na wsi, to go odstawić do twierdzy w Zamościu, tam was za to czekać będzie duża nagroda.

Krawczyk prawie był pewien, że to Muszyński, gdyż z opowiadania żyda dowiedział się również, że ten miał olbrzymią brodawkę na twarzy, akurat w tem miejscu, co i tamten.

Po opuszczeniu karczmy przez wojaka, znajdujące się tam chłopstwo przysiadło do stołów i poczęto gawędzić o napadzie na dwór i o wynagrodzeniu, które na wypadek pojmania Muszyńskiego na wsi lub w okolicy, ma być wypłacone w fortecy, do której choć i daleko było, jak i do pojmania szpiega, to przecież znajdowali się i tacy, którzy na ochotnika postanowili wybrać się w lasy i szperać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Uroczystość Ferdynanda Kurasia.

Dzień 1 września był niezwykle pamiętnym i uroczystym dla naszego kochanego poety, Ferdynanda Kurasia. W dniu tym oddano mu dar narodowy w postaci zagrody włościańskiej. Że dar ten doczekał się urzeczywistnienia, zasługą jest komitetu, który dzieło przeprowadził, a że wogóle myśl takiego daru powstała, zawdzięcza poeta swemu niezwykłemu talentowi, który zwrócił nań powszechną uwagę. Poeta nasz zamieszczał od wielu lat w pismach ludowych udatne i barwne wiersze, które ziednały mu popularność i poczytność. Pochodzi z Tarnobrzega. Smutne są dzieje jego życia. W młodym wieku utracił słuch i mowę; aczkolwiek pochodzi z rodziny rolniczej, musiał, z powodu stosunków, jąć się rzemiosła i został szewcem wiejskim. Potem został pisarzem w starostwie kołomyjskiem a wróciwszy w strony rodzinne, pracuje w kancelaryi Rady powiatowej tarnobrzeskiej. Dzięki poparciu osób zajmujących się nim, mógł uzupełniać wykształcenie w kierunku literatury polskiej. Poezye swoje, przejęte ukochaniem wiary i ojczyzny, wydał w paru tomikach (jeden nakładem Macierzy Pojskiej), świeżo ukazały się dwie legendy wierszem, osnute na podaniach sandomierskich p. t. »Tatarzy w Sandomierzu«.

Przed czterema laty w kołach włościańskich Tarnobrzega powstała szlachetna myśl, aby zapewnić ciężko pracującemu poecie-zarobnikowi kąt dla niego i rodziny. Zawiązał się w tym celu komitet, który następnie uzupełniono wybitnemi osobistościami ze wszystkich ziem polskich. Protektorat przyjął Stanisław hr. Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, przewodniczącym został p. E. Swoboda, b. starosta tarnobrzeski, zastępcą przewodniczącego ks. dziekan Szczęsny Rudnicki z Wielowsi. Gdy zaś sekretaryat objął ruchliwy działacz oświatowy z Tarnobrzega, p. Zygmunt Kolasiński, rozpoczęło się zbieranie składek, napływających obficie z Galicyi, z za kordonów, nawet z Ameryki. Członkowie komitetu i najbliższa okolica pierwsi pośpieszyli z udziałem, zwłaszcza p. Swoboda, Stanisław hr. Tarnowski i Zdzisław hr. Tarnowski, właściciel Dzikowa.

Staraniom komitetu powiodło się za uzbierany grosz, przy zaciągnięciu długu, nabyć grunt w Dzikowie pod Tarnobrzegiem, i wybudować tam zagrodę, w której Kuraś będzie mógł dalej pracować piórem i na roli. Uroczystość dn. 1 września miała na celu oddanie tej zagrody Kurasiowi przy udziale członków komitetu włościan i zaproszonych gości. Przed południem w kościele tarnobrzeskim odbyło się uroczyste nabożeństwo, poczem powozami ruszono do Dzikowa. Chorągiewkami o barwach narodowych ustrojono wiele domów, a samą zagrodę przyozdobiono chorągwiami i zielenią, przed domem zaś ustawiono stół i kilkadziesiąt krzeseł. Poświęcenia dokonał ks. dziekan Rudnicki, poczem przemawiali hr. Zdzisław Tarnowski z Dzikowa i marszałek Zbigniew Horodyński imieniem powiatu. Wielkie wrażenie zrobiły przemówienia dwu włościan: Walentego Wnęka imieniem Wielowsi, skąd Kuraś pochodzi, i Jana Słomki, sędziwego a powszechnie szanowanego wójta dzikowskiego, imieniem gminy, w której Kuraś obecnie zamieszkał. Na zakończenie sekretarz komitetu, Zygmunt Kolasiński, odczytał serdeczne podziękowanie napisane przez Kurasia, oraz liczne depesze od wybitnych osób, z kraju, instytucyj i redakcyj, między innemi także od redakcyi »Roli«.

Sprawozdanie poselskie

Zdzisława hr. Tarnowskiego.

W szczelnie zapełnionej dawnej sali »Sokoła« w Tarnobrzegu złożył 6 września sprawozdanie ze swej działalności poseł na Sejm krajowy, wybrany z kuryi mniejszej własności Zdzisław hr. Tarnowski. Przeszło 200 wyborców, włościan, przybyło z całego powiatu, by nie tylko wysłuchać sprawozdania, ale także przedłożyć nowe swe postulaty i przypomnieć najrozmaitsze sprawy, których pomyślne załatwienie leży na sercu, już to poszczególnym gminom, już też różnym korporacyom lub jednostkom. Nastrój zgromadzenia poważny i spokojny dotrwał do samego końca, nie zmącił go też najmniejszy dysonans, jakkolwiek na sali znajdowali się przedstawiciele różnych obozów politycznych. Po ukonstytuowaniu się wiecu pod przewodnictwem p. Zbigniewa Horodyńskiego, prezesa Rady powiatowej, zabrał głos Zdzisław hr. Tarnowski i po przywitaniu zgromadzonych, w dłuższym, bo przeszło godzinnym wywodzie, przedstawił zebranym dokładny obraz dotychczasowej swej działalności sejmowej.

Po przedstawieniu opłakanego stanu finansowego obecnego budżetu i różnych projektów sanacyi tegoż skreślił p. poseł historyę spadłych na nasz kraj w ostatnich latach pięciu, a w szczególności na powiat tarnobrzeski różnych klęsk elementarnych, jak posuchy, pryszczycy i gradobicia. Dzięki energicznej interwencyi posła, powiat tarnobrzeski otrzymał w ciągu tego czasu kilka znaczniejszych subwencyj już to w gotówce, już też zapomogach w naturze. Dla powetowania szkód, jakie wyrządziły rolnictwu traktaty handlowe z Rumunią i państwami bałkańskiemi, utworzony został osobny fundusz państwowy na popieranie chowu i zbytu bydła, do którego przez lat 9 ma wpływać co roku ze skarbu państwa suma 6 milionów koron. Z sumy tej przypada na kraj kwota 1,428.933 koron, która ma być użytą przedewszystkien na powiększenie produkcyi i polepszenie jakości paszy, a co za tem idzie, na gruntowną melioracyę pastwisk i łąk w poszczególnych powiatach. Ze względu, że powiat tarnobrzeski stosunkowo bardzo mało korzystał dotąd z rzeczonego funduszu, mimo licznych nawoływań, oświadczył mowca gotowość służenia z pomocą każdej gminie, która zwróci się do niego o poparcie w sprawie przeprowadzenia wspomnianych melioracyj.

Następnie omówił poseł szczegółowo nową ustawę łowiecką, bardzo korzystną dla naszego włościaństwa. Ze sposobu uchwalenia tej ustawy, którą referował jeden z członków stronnictwa ludowego, wynika najlepiej, jakim duchem przejęta była obecnie większość sejmowa, jak rzecz powszechnie odczuta i na realnych oparta podstawach znaleść może zwolenników nawet i w przeciwnych obozach, byleby nie była używana do celów politycznych i osobistych porachunków. Również obszernie omówione zostały sprawy polepszenia bytu nauczycielskiego, ustanowienia stałych katechetur przy szkołach ludowych i sprawy ulżenia powiatom w ponoszeniu ciężarów na konserwacyę dróg powiatowych i gminnych I klasy przez objęcie co roku przez wydział krajowy w zarząd kraju 500 klm. tychże dróg.

Powiat tarnobrzeski dzięki interwencyi mowcy, uzyskał zaraz w pierwszym roku wejścia w życie tej ustawy znaczną ulgę w ponoszeniu wydatków przez objęcie 21 klm. drogi gm. I kl. Tarnobrzeg-Majdan w zarząd kraju. Ustawa o podwyższeniu obwałowania rzeki Łęgu w powiecie tarnobrzeskim kosztem 1,200.000 koron doszła także do skutku w roku zeszłym, dzięki inicyatywie i poparciu posła. W interesie podniesienia włościaństwa zmienioną została w roku 1911 poprzednia uchwała sejmowa, mocą której postanowiono przyczyniać się przy nowo powstałych spółkach drenarskich ze strony kraju dotacyą 33 proc. ogólnych kosztów budowy zamiast dawnych 25 proc. W interesie rolników zajmował się żywo Sejm w ostatnich latach sprawami ubezpieczenia bydła w kraju i ulepszenia sprzedaży soli.

W następnych wywodach poruszył mowca szereg postulatów miejscowych i powiatowych, a wreszcie obszerniej omówił sprawę sejmowej reformy wyborczej i podniósł potrzebę konsolidacyi stronnictw polskich wobec obstrukcyi ruskiej.

Wywody swe, rzeczowo przedstawione, zakończył mowca apelem do zgody i wspólnej pracy. »Miłość do tej ziemi, którą orali nasi przodkowie, niech będzie gwiazdą przewodnią wszystkich naszych myśli i czynów.

Jakkolwiek w kraju naszym rolnicy bezwzględną posiadają większość, niech nie stają w szyku bojowym do walki z miastami, ale niech z różczką oliwną w dłoni idą do nich, dążąc do coraz wyższej kultury i rozwoju rolnictwa, bo w bogactwie ich mieści się także rozkwit i wzrost bogactwa mieszczan.

Sprawozdanie przyjęto hucznymi, długotrwającymi oklaskami, poczem rozwinęła się obszerniejsza dyskusya, w której poruszono różne postulaty powiatu tarnobrzeskiego.

Pierwszy w dyskusyi zabrał głos wójt Słomka z Dzikowa, który imieniem włościan tutejszego powiatu prosił, aby pan poseł postarał się u decydujących czynników:

1) by nauka w szkołach ludowych i miejskich w zupełności zrównaną została;

2) by szkoła realna w Tarnobrzegu zmienioną została na szkołę realną nowego typu,

a nadto podziękował p. posłowi za jego dotychczasową, owocną w skutkach, działalność dla całego powiatu i postawił wniosek o udzielenie mu wotum zaufania. Wniosek ten przyjęto jednomyślnie, a hr. Tarnowski, dziękując za zaufanie, oświadczył, iż posłowanie z tutejszego powiatu uważa za wielki zaszczyt i za jeden z pierwszych swoich obowiązków.

W dyskusyi nad następnymi wnioskami zabierali głos pp. Maziarz, Dudek i Kozdęba, który ponad to domagał się zrównania nauki w seminaryach męskich t. zw. typu wiejskiego i miejskiego, — poczem wnioski te jedłogłośnie uchwalono. Na wniosek p. Gładysza, aby zmienić w tym duchu ustawę, by Rada szkolna krajowa domagała się od gmin na budowę szkół jedynie 120 prc. dodatków do podatków a nie wyższych datków, jak to obecnie jest w praktyce, a nadto, by rząd przyczyniał się połową kosztów na utrzymanie nauczycielstwa, dał wywyczerpujące wyjaśnienie p. prezes Horodyński, wobec czego wniosków tych nie poddano pod głosowanie.

Następne interpelacye i postulaty stawiali: p. p. Dudek w sprawie przyśpieszenia udzielenia pożyczki bezprocentowej dla nowo utworzonej Spółki stolarskiej w Tarnobrzegu; p. R. Kanarek o przyśpieszenie kreowania sądu powiatowego w Radomyślu; p. Stan. Kołodziej o dokończenie obwałowania Sanu; p. sędzia Bochniewicz o zbudowanie sklepionego kanału, prowadzącego od szpitala do Wisły, wreszcie p. Nowak Marcin z Krawców w sprawie powiększenia liczby strażników dla istniejącej tamże spółki łowieckiej.

Na wszystkie te żądania odpowiedział p. poseł wyczerpująco ku ogólnemu zadowoleniu zgromadzonych.

Pojętność zwierząt.

— Niedawno temu — opowiada pewien podróżnik — spotkałem się ze znajomym mi badaczem zwierząt. Po zwykłych przywitaniach i zapytaniach o zdrowie i znajomych pogadanka zeszła na ulubiony temat uczonego, t. j. na zmyślność i spostrzegawczość i inne zalety zwierząt.



Lew chodzący po flaszkach.

— Proszę pana — mówił ów badacz — niech kto co chce mówi, a ja twierdzę, iż zwierzęta pod wielu względami przewyższają człowieka. Gdyby one tak duszę miały, żaden człowiek w ich zręcznościby im nie dorównał.

— Weźmy na przykład pszczołę — ciągnął dalej mój znajomy. — Różnego rodzaju socyaliści wysilają się na wymyślenie takiego ustroju państwowego, aby wszyscy byli sobie równi, żeby ponowała wspólność majątkowa i t. p. Udać się im to nie może i nie uda z tej prostej przyczyny, że człowiek stworzony do władzy i królowania wszelkiemu stworzeniu już w swej naturze ma niechęć do posłuszeństwa i do spełniania cudzych poleceń. U pszczół jest inaczej! Tam jest rzeczywiste i najidealniejsze państwo socyalistyczne, choć temu owadziemu światkowi króluje monarchini despotyczna.



Na żywych ciałach.

Przypatrzmy się bowiem życiu pszczół. Jedna jedyna monarchini-królowa posiada szacunek dziesiątek tysięcy owadów, wszystkie bez oporu wykonują jej rozkazy, wszystkie są gotowe życie oddać na jej skinienie a czynią to nie ze strachu, ale z miłości pełnej szacunku.

Byłby to obraz najidealniejszych rządów monarchistycznych.

Ale z drugiej strony każda pszczółka zajęta od rana do nocy ciężką pracą, zdaje się ani o sobie nie myśli, ale wytęża wszelkie siły, by dla swych towarzyszek znieść jak najwięcej wonnego i słodkiego płynu. Wśród tej pracy potarga nieraz skrzydełka, często życie traci, ale zawsze, choćby ostatkiem sił niesie miód do ula, aby dla towarzyszek, które zdrowo przy życiu na zimę zostaną przysposobić zapas potrzebnego pokarmu.



Stojący niedźwiedź.

Oto obraz najidealniejszego socyalizmu, to doskonałość towarzyska, do której człowiek nigdy nie dojdzie.

A gdy nieprzyjaciel się zbliża! Tam niema wypychań, kto ma iść pierwszy na niebezpieczeństwo, tam niema przywódców, którzyby się w chwili krytycznej za plecy tłumów robotniczych chowali, aby po ich trupach dojść do znaczenia i sławy; ale każda z pszczół, która najbliższą jest nieprzyjaciela staje w obronie mienia i życia swych towarzyszek. Tam niema dezerterów! Jakże więc daleko człowiekowi do takiej doskonałości!

— Choć ze wszystkich stworzeń najwyżej stawiam pszczoły — mówił ów badacz dalej — nie znaczy to, abym zaprzeczał wielkich zdolności pod wielu względami innym zwierzętom. Popatrzmy bowiem na wytrwałość mrówek, na wierność psów, na przywiązanie koni, a zobaczymy, że zwierzęta te przewyższają pod wielu względami człowieka i wzorem być mu mogą.

Jeżeli człowiek pomimo to góruje nad wszelkiem stworzeniem, to zawdzięczać to może jedynie swemu rozumowi, który dał mu moc rządzenia nimi.

Człowiek, korzystając z tej mocy danej mu od Boga, potrafił zapanować nietylko nad znanemi nam zwierzętami domowemi, ale i najdzikszych drapieżców świata zdoła, jeżeli chce, do posłuszeństwa i uległości zmusić.



Tygrys na linie.

W cyrkach, menażeryach i innych miejscach można zobaczyć krwiożerczego lwa, spełniającego potulnie wolę człowieka. Lew więc na rozkaz swego pana przeskakuje różne zapory, chodzi po flaszkach, a nawet pozwoli się człowiekowi drażnić ze sobą. Niebezpieczne niedźwiedzie wykonują posłusznie rozkazy swego pana: tańczą, skaczą i tysiące figli wyprawiają. A nawet drapieżne tygrysy, które jedynie krwią ciepłą żywić się lubią, posłuszne woli ludzkiej wykonują rozliczne karkołomne sztuki na linach i bez lin.

Często zdarza się, że taki pogromca ściele sobie poprostu łoże z krwiożerczych zwierząt i spoczywa na niem, jak jaki wygodniś na miękkich puchach. Ale też i nierzadko bywa, że taki odważny pogromca życiem swą odwagę przepłaca.

Widzimy więc — kończył swe opowiadanie ów badacz — że nierozumne zwierzę nauczyć się zdoła wielu rzeczy, których nauczenie się rozumnemu człowiekowi sprawiałoby bardzo wiele trudności a często jest nawet dla niego wprost niewykonalne. A gdyby człowiek posłuszeństwem i ogromnem ukochaniem pracy zdołał przytem dorównać zwierzętom stałby się wtedy bezwątpienia ideałem człowieka. Ale niestety jeszcze bardzo wiele brakuje nam do osiągnięcia tych zalet.

NA FALACH WISŁY.

Płyń, płyń łódeczko ma —
Niech nam Wisła swym szumem gra,
Niech zaśpiewa królowa rzek,
Co jej prawił prastary wiek.
Gra, gra Wisełka już,
Głos przelata wśród dolin, wzgórz,
Aż się dziwi zbudzony Krak,
Kto się o nim rozśpiewał tak.
Wawel sędziwy, choć zna te dziwy,
A jednak wspomina przeszłość starowina,
Zygmunt Lechitów z omszałych szczytów
Pyta się: „Gdzie Chrysta mur?“
Płyńże, płyń łódko z nami cichutko
Ja słucham w zachwycie, bom Matki tej dziecię,
O której gwarzy, nuci pieśniarzy
Wawelu i Wisły chór.

Płyń, płyń o luba ma,
Niech nam Wisła swym szumem gra,
Niech nas niesie na falach swych...
Lazur w toni, jak w oczach twych...
Skłoń, skłoń o luba, skłoń
Na mej piersi gorącej skroń,
Niechaj szczęście zabłyśnie mi,
Niech jak słońce na falach lśni.
Wisła ramiona, jak narzeczona
Wyciąga i tonie na kochanka łonie,
Bałtyk wspaniały, w kochaniu stały
Pieści ją od wieków tak...
Zróbże jak ona: pójdź w me ramiona,
Pójdź Polsko siostrzyco, pójdź cudna dziewico!
Polak nie skłamie, wiary nie złamie,
To nie jest przelotny ptak!

J. Majcher.

Z sierocej doli.

Słabe to było, blade — zwyczajnie bezdomny znajdek — sierota. Urągowisko wsi całej, sierocej gorzkiej doli dziecko. Dwurocznem niemowlęciem znaszła go stara Urbanicha, jagody i zioła przeróżne w boru zbierająca, pod bukiem na polance. Owinięte w brudny, cuchnący łachman kwiliło to, a chwilami, gdy głód skręcił temu wnętrzności, z drobnej, kwileniem długiem starganej piersi, wydzierał się głośniejszy krzyk — klątwa na matkę wyrodną, co sumienia i miłości macierzyńskiej głos w sobie potłumiwszy, tu je na pastwę głodu lub zwierza dzikiego rzuciła. Lecz nie było jeszcze przeznaczone szczeznąć tak marnie chudzinie, — bo ta, co ją znaszła, matką sierocie się stała, darem bożym na stare lata jej zesłanym ją zowiąc. A że nie była pewna, czy dziecko chrzczone, zaniosła je na plebanię, gdzie jegomość zaraz znajdka ochrzciwszy, zbożną chęć Urbanichy wychowywania sieroty pochwalił i pomagać jej w tem obiecał. Rósł więc w chacie pod borem, mlekiem koziem i chlebem czarnym karmiony, do snu pieśniami starej kołysany. A gdy mówić się naumiawszy, na starą »mama« zawołał, to jej to słowo muzyką anielską zagrało i łzy gorące szczęścia zlały drobną chłopięcia głowinę, stygmatem przyszłej sierocej doli twardej ją znacząc. Gdy już chodzić umiał, biegał za starą w odwieczny, głuchy bór, wszystkiemu się dziwując i matkę przybraną pytaniami zasypując, na które ona po prostu lecz serdecznie odpowiadała; a gdy pytanie o przyczynę czegoś zadał, ona, rękę ku niebu podniósłszy, źródło mu tam wszechbytu wskazywała, o Bogu, sierot miłośnym Ojcu, o Matce Jego, o Aniołach i Świętych Pańskich mu prawiąc. A chłopię w słuch całe zamienione, oczy w górę wzniósłszy, słuchało... A jakie to były te jego oczy?!.. Niebieskie, jak to niebo, ku któremu biegły, głębokie, jak leśna krynica, a smutne, jak dola tej Ziemi, która chłopięciu matką rodzicielką była.

Największem świętem dla sieroty było, gdy Urbanicha w białą koszulinę, czerwoną tasiemką pod szyją zawiązaną i w bielutką sukmankę go ustroiwszy, brała z sobą w niedzielę do kościoła. Gdy pierwszy raz tam zaszedł, zdawało mu się, że jest w tem niebie, o którem mu matula tyle cudnych rzeczy naopowiadała; szeptem więc zapytał:

— Matulu, to my chyba w niebie?

A ona na to:

— Ej, nie dziecko — to dopiero sień do nieba.

A w głowie chłopczyny powstała myśl:

— Hej, jak ci to w samem niebie ładnie być musi, kie już w sieni tak pięknie!

I ze złożonemi rączynami rozglądał się po świątyni, aż oko jego zatrzymało się na wielkim ołtarzu, gdzie Michał Archanioł w złocistej zbroi kopią smokowi-szatanowi cios straszliwy wymierza, w otchłań buntownika strącając. — Odgadł zaraz, kogo obraz przedstawia, bo się od matuli o onym Witeziu nasłuchał i w snach sierocych często go widywał. — Teraz więc, gdy go ujrzał na jawie, wmodlił się w obraz całą duszą i trwał w swej modlitwie długo... A w tem organy umilkły i silny, choć drżący głos kapłana rozległ się pieśnią — błagalną:

Salvum fac populum Tuum Domine!

A głowy, jak kłosy na łanie wichrem pochylone, przygięły się ku podłodze kościoła i westchnienie, jakby z jednej piersi wydarte, wzniosło się z dymem kadzielnym ku górze. — Chłopiec wracał jak oszołomiony ze starą do chaty, myśląc ciągle o owym Rycerzu niebieskim, którego całą duszą umiłował.

Trwał ten sen rozkoszny lat chyba ze sześć. Aż, gdy chłopię osiem roków liczyło, nastąpiło straszne przebudzenie. Pewnego poranka jesiennego poszła stara Urbanicha do boru, chłopięciu kozę koło chaty przykazawszy.

Poszła, ale nie wróciła sama, lecz przynieśli ją na noszach z gałęzi chłopi od nagonki krwią broczącą, nieżywą. W boru było polowanie i zabłąkana kula myśliwca odebrała pacholęciu matkę — w sierotę zupełną je zmieniając. Rzuciło się chłopię z płaczem wielkim na zimny zezwłok matuli umiłowanej, jękiem chcąc ją do życia przywołać, lecz darmo... Pochowali Urbanichę na cmentarzu koło kościółka. Gdy trumnę do grobu spuścili, sierota aż się zanosił od płaczu; byłby może i skoczył za trumną do dołu, jeno go baby, jak organy płaczące, przytrzymały, utuliły i do dworu na rozkaz pana zawiodły.

Porosła darnią cicha mogiłka Urbanichy, — porosło też brudem ciało znajdka sieroty. — Pastuchem go dworskim mianowano, żołd w postaci kawałka czarnego chleba z serem wypłacano, na wety grzbiet kijem przeciągano. Gorzki to był chleb, bo go łzy sieroty soliły. — Wnet jednak zaciął się w sobie, jakby świata bożego niepamiętny — oczy tylko się mu pogłębiły, bardziej wniebowzięte stały, aż to ludzi zastanawiać zaczęło. Cichy się stał, jak baranek, chłostę i urągowisko wszelakie w milczeniu przyjmując, Bogu się jeno i duchowi matuli skarżąc.

Raz, gdy spał w pobliżu ogrodu dworskiego, usłyszał coś, jakby rozmowę. — Zaciekawiony, podpełznął pod samą kratę drucianą, gęstymi krzewami bzu i jaśminu obrośniętą i zajrzał do ogrodu. Pod drzewem cienistem na ławeczce darniowej siedział

panicz ze dworu, czytając z jakiejś książki głośno, z przejęciem. Sierota słyszał każdy wyraz, lecz nic z tego nie rozumiał; wiedział tylko, że to »wirszem«, coś, niby pieśń jakaś święta... Słuchał z tchem w piersi zapartym... A z ust panicza wyrazy płynęły perlistą kaskadą:

...»*Przewodowo — zwolna — święcie — przez to dźwięków rozbłyśnięcie idą — idą wszystkie mary; patrzaj, patrzaj, w dziwnej chwale, wszyscy z trumien polskich rodem idą — idą przez te fale Chrystusowym do nas chodem*...«

Twarz słuchającego dziwnie rozpromieniona, oczy błyszczą — a przez liście bzów i jaśminów przedziera się doń pieśń — czar, pieśń — upojenie.

Tam buńczuki, tam sztandary, śnieżne pióra i korony, katolicki krzyż wzniesiony; wkoło herby, tarcze, znaki i tłum szabel i szyszaki przeciągają.

I przed oczyma duszy sieroty przeciąga w rytmie słów wiersza cały legion rycerzy w stal lśniącą zakutych, takich, jak Ten tam w ołtarzu. Widzi ich, słyszy szczęk kordów i poszum sztandarów.

Do strun siostro! Uderz w struny, by ich łacniej pieśń zaklęła, w akordowe graj pioruny, graj im: »Jeszcze nie zginęła!»

A twarz sieroty zbladła jak płótno z zachwytu, oczy szklą się perłami łez... Wpatrzony w panicza jak w tęczę, wyrywał mu prawie z ust. Nagle jednak czar prysnął; od dworu rozległo się wołanie w jakiejś nieznanej mu mowie i panicz, zamknąwszy książkę, oddalił się w stronę pałacu.

A w duszy pacholęcia dźwięczały dalej wzniosłe wyrazy pieśni tryumfalnej. Zapomniał na chwilę o wszystkiem — pieśń — balsam ukoiła cierpienia sieroty. — W tem brutalny czyjś głos przerwał niemiłosiernie tę chwilę rozmodlenia, w krainę czaru wzięcia chłopczyny.

— A ty psie nosienie! Ty znajduchu zatracony! To tak pilnujes bydląt — za to ci zryć dają, zebyś ty się w cieniu wylegiwoł, a bydlęta w konic lazą! A wyłazis mi zaroz! Marś!... i wyrazom tym towarzyszyły uderzenia bezlitośne grubym, sękatym kijem. Padały te razy z ręki podchmielonego karbowego, który, nie patrząc, gdzie uderza, bił a bił, aż się zmachał.

A sierota skulił się tylko i jękiem cichym odpowiadał na razy, rękami się jeno od nich zasłaniając.

Karbowy, wyładowawszy cały zapas złości — powlókł się w stronę gumien — a sierota, pozbierawszy z biedą potłuczone członki, poszedł, aby bydło do obory zagnać.

I niedługo już pasł, jeno do jesieni. Jakoś z końcem lata lica mu pożółkły, jak gromnica, oczy się mgłą męczeńską zawlokły, zaczął kaszleć, za każdem kaszlnięciem wydobywała się z ust z krwią zmieszana ślina.

Jednego poranku znalazł go grabarz leżącego na mogiłce Urbanichy; rękami objął mogiłkę, jakby bał się, aby go znów od niej nie oderwano, a nad głowiną zwisły bezlistne gałązki dzikiej róży, koronę mu cierniową, symbol doli sierocej, wijąc. Ptaszę jakieś bezgniezdne nuciło mu cicho piosnkę pożegnalną, a dusza czysta poszła hen, na rajski ług, by służyć za giermka Witeziowi niebieskiemu, miecz i hełm na bój z szatanem mu nosząc.

Sioło Władysław.

W MŁYNIE.

W pewnej wiosce żył bardzo bogaty a przytem chciwy i nieuczynny młynarz. Z żoną swoją, równie zachłanną na mienie bliźniego kobietą, cały swój rozum wysilali na to, aby w jakikolwiek sposób jeszcze bardziej swój majątek powiększyć.

Zdarzało się nieraz tak, że młynarz zajmował rozmową gospodarza przywożącego zboże do młyna, podczas gdy jego godna połowica pocichu zboża z worów usypywała.

W pierwszych latach małżeństwa młynarka nie chciała się zgodzić na okradanie interesowanych, ale gdy ją raz i drugi zbił porządnie kochający małżonek, wnet prześcignęła go w złodziejskiej robocie.

Mimo to młynarz nie dowierzał swej połowicy, ale owszem podejrzywał ją, że kradnie, ale część skradzionego zboża chowa dla siebie, aby sprzedawszy, módz uzyskany pieniądz przechulać z Frankiem, parobkiem od leśniczego.



Myśl ta gryzła ciągle młynarza i spać mu nie dawała.

Postanowił więc zbadać, czy jego podejrzenia były uzasadnione.

Pewnego razu oznajmił swej małżonce, iż udaje się w dalszą drogę, polecając jej, aby pilnie strzegła domu i towarów znajdujących się w młynie. Poczem udał się w rzekomą drogę.

Ale zajechał tylko do sąsiedniej wsi, gdzie doczekał ledwie wieczora. Stąd wrócił ku domowi, podkradając się, by złodziej jaki.

Po cichutku zbliżył się do młyna, wszedł niespostrzeżenie do piwnicy i czekał rychło-li nie posłyszy jakiego szmeru w młynie.

Młynarka tymczasem, zamknąwszy poprzednio młyn, zabierała się do zgotowania sobie i dzieciom wieczerzy.

Chcąc urąbać drzewa, spostrzegła, że siekierę zostawiła w młynie. Poszła po nią i już miała wychodzić z młyna, gdy wtem zobaczyła podnoszące się drzwi od piwnicy. Nie namyślając się wiele, uchwyciła za kołnierz wyłaniającą się postać i uderzyła w kark siekierą. Nieszczęśliwy padł nieżywy na dno piwnicy.

Jakież było jej przerażenie, gdy w zabitym rozpoznała swego męża

Tym sposobem majątku nabytego chciwością żadne z małżeństwa nie spożytkowało.

Uszlachetnianie ludzi.

Naród jest tem potężniejszy, im starszą i im wyższą ma kulturę. Kaltura robi go bogatym, silnym, a nawet i szlachetniejszym. Tego nie potrzeba udowadniać, bo żeby się o tem pr ekonać, wystarczy porównać kulturalnego Europejczyka z afrykańskim murzynem, lub nawet w tym samym narodzie ciemnego, nieumiejącego nawet czytać robotnika z wykształconym z ojca i dziadka mieszczaninem. Ciemny człowiek nie dba nawet o podniesienie się własne i uszlachetnienie, nad podniesieniem tak materyalnem, jak i moralnem, muszą inni światli i szlachetni pracować, gdy tymczasem człowiek kulturalny stara się ciągle podnosić siebie pod każdym względem. To samo da się powiedzieć o ciemnych ludach i o kulturalnych narodach. W ostatnich czasach takie kulturalne narody, jak Francya i Anglia, stworzyły nową naukę, która ma prowadzić do uszlachetnienia rasy ludzkiej, a która z grecka nazywa się eugenetyką. Różnymi sposobami dąży ona do tego, aby wychowywać ludzi na coraz lepszych, zdrowszych, silniejszych, energiczniejszych, a nawet ładniejszych. Wśród społeczeństw nowożytnych coraz więcej jest różnych zwyrodnień, które się objawiają rozmaicie. Pominąwszy różne inne złe objawy, wystarczy przytoczyć zwiększanie się ilości umysłowo chorych, samobójstw, śmiertelność dzieci, mniejsza ilość urodzin, zgubne wpływy rozmaitych chorób zakaźnych; dzieci pierwsze i ostatnie są mniej odporne, wymagają dłuższego karmienia, bo pokarmu matki nic zastąpić nie może.

Zadaniem eugenetyki jest podnosić rasę ludzką nietylko duchowo, lecz i fizycznie, a więc n. p.: zwalczanie gruźlicy, która szczególnie u nas tak strasznie się sroży, zwalczanie innych ciężkich chorób, zbytkowe życie, popieranie rodzin o licznem potomstwie, rozwoju stanu włościańskiego, polepszać coraz więcej zdrowotność na wsi i w mieście, dbać o należyte odżywianie ludności i wyrabiać jednostki silne cieleśnie i duchowo.

Przed kilku tygodniami odbył się kongres międzynarodowy dla uszlachetnienia rasy, na którym uczeni przedstawili liczne poglądy naukowe, w jaki sposób należy dążyć do polepszenia rasy. Oddziaływanie na człowieka zgubne lub dodatnie, może być rozmaite. Prawie bezwiednie na to, że człowiek jest dobrym lub złym, zdrowym lub chorym, silnym lub słabym, mądrym lub głupim, wpływa środowisko, w którem żyje, a więc wykształcenie, dobroć, szlachetność rodziców i otoczenia, dobre lub złe warunki materyalne, wpływ dziedziczności, niezależność człowieka, zamiłowanie pracy, prawdy, wreszcie religia i kościół, wogóle wszystko, w czem się urodził, wychował, żyje i pracuje, wywiera wielki wpływ na człowieka.

Narody, które się tą nową nauką zajęły, są i tak bardzo kulturalne, wielkie i silne, więc tem bardziej nam należy starać się o rozwój tej nauki i zastosowanie jej w życiu dla uszlachetnienia narodu, aby był moralnie, cieleśnie i pieniężnie silnym i więcej niż dotąd odpornym przeciw żydom i Niemcom, którzy żyją jego kosztem i prowadził się tą drogą ku lepszej doli.

Nie wystarczy jednak czekać na kogoś, aby zajął się naszem uszlachetnieniem, ale w pierwszym rzędzie sami powinniśmy do tego rękę przyłożyć przez czytanie dobrych książek i gazet, przez wstrzemięźliwość, przez umiarkowane życie a przedewszystkiem przez starania o dobre wychowanie swych dzieci.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XIX.

Przeniesienie Harberta do Granitowego pałacu. — Opowiadanie Naba. — Wyprawa Cyrusa na płaszczyznę. — Zniszczenie. — Niezaradność wobec choroby. — Febra śmiertelna. — Top szczeka.

Zapomniano o korsarzach, o grożącem jeszcze niebezpieczeństwie, o spustoszeniu płaszczyzny, a zajęto się wyłącznie Harbertem. Penkroff doprowadził wóz aż do zakrętu rzeki, tam zrobiono naprędce nosze z gałęzi i złożono na nich zemdlonego Harberta. W dziesięć minut później, Cyrus, Gedeon i Penkroff stanęli przed Granitowym pałacem, postawili nosze na windzie, i wkrótce Harbert leżał już na swojem łóżku. Nab tymczasem odprowadził na płaszczyznę.

Troskliwe starania przywróciły Harbertowi przytomność; uśmiechnął się, zobaczywszy, że już jest w swoim pokoju, ale był tak osłabiony, że zaledwie zdołał parę słów wymówić.

Gedeon obejrzał jego rany, obawiając się, czy nie otworzyły się; nie znalazł nic złego. Skądże więc pochodził ten nagły ubytek sił? Dlaczego stan Harberta tak się pogorszył?

Wkrótce potem chory wpadł w jakiś sen gorączkowy, a reporter i Penkroff usiedli na jego łóżku.

Cyrus uwiadomił Naba o tem, co zaszło w owczarni, on zaś nawzajem opowiedział wypadki, których przed chwilą był świadkiem.

Rozbójnicy dopiero zeszłej nocy pokazali się na skraju lasu, w pobliżu strumienia. Nab znajdował się właśnie przy kurniku, i widząc, że jeden z nich chce wpław strumień przepłynąć, strzelił do niego; było już dość ciemno, więc nie wie, czy trafił. W każdym razie, nie odstraszyło to bandy, i Nab zaledwie zdołał schronić się do Granitowego pałacu.

Sam niczego się nie obawiał, ale budynki, ogrody: pole, wszystko to pozostało na łasce zbrodniarzy. Wypadało koniecznie uwiadomić towarzyszy o grożącem niebezpieczeństwie.

Przyszło Nabowi na myśl, aby posłać Jowa, który nieraz już dawał dowody wielkiej zmyślności. Ciemno jeszcze było i zwinna małpa mogła przejść niepostrzeżenie przez las, który zresztą mógł być jej zwykłem mieszkaniem.

Nab przywiązał więc kartkę do szyi Jowa, przyprowadził go do drzwi Granitowego pałacu, spuścił sznur, sięgający aż do ziemi, i patrząc na małpę, powtórzył kilka razy:

— Jow! owczarnia, owczarnia!

Zwierzę zrozumiało dobrze nazwisko miejsca, do którego uczęszczało tak często z Penkroffem, zsunęło się też zręcznie po sznurze i znikło.

— Dobrze zrobiłeś, Nabie — rzekł Cyrus — ale może byłoby lepiej, gdybyśmy nie dowiadywali się o tem, co tu zaszło.

Mówiąc to, inżynier myślał o Harbercie, któremu przewiezienie zaszkodziło tak bardzo.

Nab dodał jeszcze, że zbrodniarze nie pokazali się wcale na wybrzeżu w pobliżu Kominów, gdyż sądząc z wystrzałów, którymi przywitano ich z tylu razem punktów, gdy chcieli wylądować na wyspę, musieli wnosić, że w Granitowym pałacu powinni ukrywać się obrońcy wyspy. Płaszczyzna nie była wystawiona na strzały z Granitowego pałacu, wtargnęli tedy na nią, zniszczyli i spustoszyli wszystko.

Zaraz po ich oddaleniu Nab pobiegł na płaszczyznę, nie zważając na to, że jeszcze jaka kula

dosięgnąć go może, starał się ugasić pożar, niweczący budynki, i walczył z nim, choć napróżno, aż do chwili, w której wóz ukazał się na skraju lasu.

Inżynier chciał przekonać się naocznie o wielkości szkód zrządzonych, i udał się wraz z Nabem na płaszczyznę. Na lewym brzegu nie znaleźli nigdzie śladu przejścia złoczyńców, na drugim brzegu i w lesie nie dostrzegli także nic, coby dowodziło, że byli w tej stronie. Cyrus wyprowadził z tego wniosek, że albo zbrodniarze dostrzegli z daleka, że koloniści wracają do Granitowego pałacu, i natychmiast udali się do owczarni, albo też, nie wiedząc o ich powrocie, uciekli do swej kryjówki, by przygotować się do nowej napaści. Wypadałoby ich uprzedzić, ale i teraz jeszcze stan zdrowia Harberta nie dozwalał rozpocząć stanowczych kroków.

Na płaszczyźnie straszne znaleźli spustoszenie. Pola były stratowane, zasiewy ścięte i wyrwane, ogrody i plantacye zniszczone. Ogień zniweczył młyn, kurnik, chlewki i stajenkę dla onagów. Przerażone zwierzęta biegały jak błędne po płaszczyźnie; drób spłoszony ogniem pływał po jeziorze, lub błądził nad jego brzegami.

Na pobladłej twarzy Cyrusa malowało się oburzenie i gniew, z trudnością tłumiony; nie wyrzekł jednak ani słowa, raz jeszcze spojrzał na spustoszone pola, na dymiące się zgliszcza, i wrócił do Granitowego pałacu.

Następne dni były dla kolonistów najboleśniejsze z tych, jakie spędzili na wyspie. Harbert widocznie tracił siły i Spilett przeczuwał, że nadejdzie chwila, w której nie będzie zdolny zwalczyć choroby.

Szóstego dnia chory zdawał się być jeszcze więcej znużonym, skóra pobladła mu na palcach, nosie i uszach i zaczęły go przebiegać z początku lekkie, a następnie coraz silniejsze dreszcze. Później zimno zaczęło zwolna ustawać, a powróciła z początku słaba, potem coraz mocniejsza gorączka.



...Penkroff krzyknął, wskazując.

Gedeon Spilett nie mógł już wątpić, że Harbert dostał gorączki przerywanej, która bez spiesznego ratunku będzie coraz silniejsza.

— Ażeby przeciąć tę gorączkę — rzekł do Cyrusa — trzeba mieć chininę, a tej nie ma na wyspie.

— Tak, to nie ulega wątpliwości.

— Nad brzegiem jeziora — odpowiedział Spilett — rosną wierzby, a kora wierzbowa może niekiedy zastąpić chininę. Spróbujmy!...

Cyrus pobiegł natychmiast nad jezioro, zdjął kilka kawałków kory z pnia wierzby czarnej, a następnie utarł ją na proszek, który Harbert zażył tegoż dnia wieczorem.

Noc i dzień następny przeszły dość spokojnie. Penkroff odzyskał trochę nadziei, ale reporter nie śmiał się jeszcze cieszyć. Zresztą i to go przerażało, że Harbert, prócz wielkiego osłabienia, doznawał jeszcze darcia we wszystkich członkach, ciążenia głowy i odurzenia. Wkrótce potem wątroba zaczęła obrzękać i wystąpiła silniejsza maligna. Przerażony reporter odprowadził na bok Cyrusa.

— Jest to gorączka zgubna! — rzekł do niego.

— To być nie może! mylisz się Gedeonie. Ten rodzaj zimnicy nie rozwija się bez powodu.

— Niestety! nie mylę się. Harbert musiał zdobyć zaród tej choroby, polując na bagnach. Miał już pierwszy paroksyzm, jeżeli teraz nadejdzie drugi, a nie zdołamy zapobiedz trzeciemu... umrze... Trzeci paroksyzm jest zawsze śmiertelny.

Nazajutrz, około południa, nadszedł drugi paroksyzm, cięższy jeszcze od pierwszego. Sam Harbert był pewny, że go nie przeżyje. Wyciągnął ręce do Cyrusa, Spiletta i Penkroffa, prosząc, aby go ratowali!... Była to rozdzierająca scena! Trzeba było gwałtem wyprowadzić Penkroffa.

Napad tej strasznej zimnicy trwał blisko pięć godzin; niepodobna było spodziewać się, że Harbet przeniesie trzeci.

Noc była straszna. Harbert mówił w gorączce, niby walczył ze zbrodniarzami i przywoływał Ayrtona: błagał o pomoc tajemniczej istoty; pytał się czemu przestała opiekować się nimi.., Potem wpadał w zupełną bezwładność... Kilka razy zdawało się reporterowi, że biedny chłopiec już nie żyje.

Nazajutrz osłabienie chorego było straszne; dawano mu ciągle proszki z kory wierzbowej, ale te nie przynosiły pożądanego skutku.

Nadeszła noc, zapewne już ostatnia dla tego dobrego i odważnego młodzieńca, tak rozumnego, tak wyższego nad swój wiek, że go wszyscy kochali jak syna. Jedynego lekarstwa, jakie mogłoby zwalczyć tę straszną chorobę, nie było na wyspie.

W ciągu tej nocy Harbert nie poznawał nikogo; zdawało się, że nie dożyje nawet do trzeciego paroksyzmu. Koło godziny trzeciej nad ranem Harbert wydał krzyk przeraźliwy; przerażony tem Nab, pilnujący go w tej chwili, wybiegł do przyległego pokoju, gdzie czuwali inni. W tymże samym czasie Top zaszczekał.

Koloniści wbiegli natychmiast i zobaczyli umierającego, usiłującego wyjść z łóżka. Gedeon wziął go za rękę, puls ustępował zwolna.

Około godziny piątej, promienie słońca zaczęły się przedzierać do Granitowego pałacu, zapowiadając dzień jasny i pogodny. Jeden z promieni dosięgnął aż do stoliczka, stojącego przy łóżku. Penkroff krzyknął, wskazując na przedmiot leżący na stole...

Było to małe, podłużne pudełeczko, na którem znajdował się napis:

Siarczan chininy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gawędy Wawrzka Obywały Z Markiem Zakałą.

Marek: — Gadajcie, co chcecie kumie, Obywało! Ja mówię, że coraz, to gorzej na świecie; choćby się tak może wam i nie zdawało, ale ja wam jednak udowodnię przecie.

Wawrzek: — No, co tam powiecie przyjacieln drogi? Cóż się wam nie może znów pomieścić w głowie; albo, jaka bieda powstaje na nogi, czy też już grasuje w wiosce co się zowie...

Marek: — Słuchajcie uważnie: Dawniej w naszej wiosce była jedna karczma z żydem-arendarzem; prawda, popijali se ludzie po trosze, stąd dzisiaj niejeden marnym gospodarzem.

Wawrzek: — Oj, prawdę mówicie, iskał ta żydzisko nieźle naszą wioskę — sam obrastał w pierze... Ale, dał Bóg, zczezło przeklęte karczmisko, a chłop śmiało koncesyę bierze...

Marek: — Skonało karczmisko... za to dwie gospody, niby katolickie na świat się zrodziły, w których, czy to stary, czy wyrostek młody marnuje pieniądze, zdrowie i swe siły. Tylko ta różnica jest, mój Obywało, że dawniej do karczmy nie tyle chodzili, przez co też i grosza mniej się marnowało, bo ta i niektórzy karczmy się wstydzili. A zwłaszcza kobiety tam nie ujrzałeś, jeśli poniektóra szła po topkę soli... Zaraz wychodzącą ją z karczmy widziałeś. — A teraz?! Mój Boże... aż mię głowa boli. Mamy tu, niestety! aż tzy koncesyje, trzy nory zabójcze ludzkiego rozumu, trzy nienasycone opilstwa bestyje, które zakłócają spokój w każdym domu.

Wawrzek: — Oj, słusznie mówicie, bo tak dziś się dzieje.

Marek: — No, słuchajcie dalej, bo to coś strasznego!... Dzisiaj lada dziewka do konccsu wieje, aby na rozgrzanie palnąć se jednego. A nasze młodsze odrostki, gdy przyjdzie niedziela, całe popołudniu gospody wartują... przytem popijają — co gdy ich ośmiela, noży na swych głowach, czy ostre, próbują.

Wawrzek: — Tak, tak, kumie drogi, już doszło do tego, że po tytoń trudno wejść wieczór w gospodę: bo tam nasza młodzież humoru dobrego, gotowa człowieka sprać, jak jaką kłodę.

Marek: — Wiecie, że nad wójta to człeka nie było; póki koncesyje w starostwie leżały: do karczmiska toto nigdy nie wstąpiło; nadużycia karcił, gdziekolwiek się działy. — Teraz, kogo znajdzie wieczorem w gospodzie? — Zawsze pana — wójta, jak w dobrym humorze brząka szklanicami, co u niego w modzie, a do domu wraca, gdy świtają zorze... Albo moja Hanka: drzewiej nie wiedziała, jak szklankę uchwycić, — teraz wiecznie »chłepce«, wszystko »katolicka gospoda« zdziałała; bo tu Przykazania tak dobrze się depce, jako i u Szmula, albo też Pinkasa.

Wawrzek: — Oj, prawda, mój Marku, że naród nędznieje, gdyż mu tylko w głowie trunek i kiełbasa. — Szynkarz się bogaci i z durniów się śmieje...

Bartek z pod lasu.

Z TYGODNIA.

Sprawy krajowe. Z początkiem bieżącego miesiąca rozpoczęły się znowu na razie prywatne, nieobowiązujące rokowania w sprawie ugody polsko-ruskiej i reformy wyborczej do Sejmu. Prezes Koła, Dr Leo, i wiceprezes Stapiński, oraz przewodniczący Klubu ukraińskiego p. Kost' Lewicki, naradzali się w tej sprawie z prezydentem ministrów Stürgkhiem i mistrem spraw wewnętrznych Heinoldem. Namiestnik Dr Bobrzyński ma pośredniczyć w tej sprawie między przedstawicielami obu narodów. W gmachu sejmowym we Lwowie obradowały cztery kluby sejmowe nad sprawę sejmowej reformy wyborczej, mianowicie kluby: centrum, demokratycznej lewicy, lewicy demokratyczno narodowej i polskiego stronnictwa ludowego. Dotychczas nic stanowczego powiedzieć nie można, jaki sprawa ugody polsko-ruskiej weźmie obrót. Rusini ustąpić bowiem ze swych żądań nie chcą, Polacy również i to tem bardziej, że poczynili już dla Rusinów najdalej idące ustępstwa.

Obłuda moskiewska. Znaną jest obłuda, z jaką zwykle Rosyanie występują względem Polaków. Nieszczerość ta tak bardzo zakorzeniła się w społeczeństwie rosyjskiem, że częstokroć osoby nawet skądinąd rzetelne i szlachetne nieświadomie jej ulegają, a cóż dopiero mówić o ludziach złej woli! Ci, nie krępowani względami sumienia, starają się zawsze i wszędzie szkodzić społeczeństwu polskiemu. Czynią zaś to nie w imię interesu własnego narodu, jakkolwiek zawsze taki cel sobie przypisują, lecz wyłącznie z wyrachowania i dla zysku materyalnego. Ostatnim takim ich czynem jest memoryał czyli oświadczenie, rozesłane do wielkich i wpływowych dzienników europejskich, w którem starają się zohydzić imię polskie w opinii świata całego, opowiadając w nim, jakoby Polacy, którzy zawsze się uskarżają na ucisk moskiewski i pruski, sami tam, gdzie mają władzę, t. j. w Galicyi, prześladują i krzywdzą słabszych od siebie Rusinów.

Memoryał ten podpisali tacy ludzie, jak rosyjski graf Bobryńskij i osławiony Eulogiusz, biskup prawosławny, autor i najgłośniejszy obrońca ustawy o wyodrębnieniu z granic Królestwa Polskiego Chełmszczyzny, i którzy się mienią przedstawicielami narodu rosyjskiego. Kto zna tych ludzi, w tym to wystąpienie nic innego prócz pogardy nie wzbudzi, ale cudzoziemcy, mieszkający zdala od nas, którzy nie znają dobrze stosunków i ludzi, z którymi nam żyć wypada, mogą łatwo uwierzyć, zobaczywszy na memoryale podpisy nawet osób duchownych, jak wspomniany biskup Eulogiusz. Stałaby się w ten sposób wielka krzywda narodowi naszemu.

Wobec tego jeden z posłów polskich do Dumy w Petersburgu, p. Dymsza, napisał obszerny artykuł w gazecie rosyjskiej, w którym przedstawia rzeczywiste stosunki w Galicyi. Z artykułu tego każdy mógłby łatwo się przekonać, jak to zbliska wygląda ten »straszny ucisk« Rusinów galicyjskich przez Polaków. Wylicza bowiem w nim autor wszystkie te prawa, z jakich korzystają Rusini w Galicyi na równi z Polakami, a o jakich Polakom, którzy zmuszeni są żyć pod zaborem moskiewskim, nie wolno śnić; przytacza dalej takie fakty, że Rusini mają w Galicyi przeszło dwa razy więcej kościołów parafialnych ruskich, aniżeli my Polacy katolickich, choć nas tu jest więcej, aniżeli Rusinów, albo że mają szkół ruskich, w których dzieci ich mogą we własnej mowie ojczystej uczyć się i oświecać tyle samo, co i Polacy dla swoich dzieci i znowu mimo, że polskich dzieci w Galicyi jest więcej, aniżeli ruskich. Jednocześnie wskazuje p. Dymsza na te barbarzyńskie

ograniczenia i ustawy, jakim muszą podlegać Polacy w Królestwie Polskiem i tych krajach, które Moskale najdawniej, bo w pierwszym i drugim rozbiorze Polski zabrali. Tam to przecież nie wolno jest dotąd jeszcze nietylko szkoły lub kościoła polskiego wznieść i utrzymywać, ale nawet walącego się kościoła lub kaplicy naprawić i odbudować. Stać on musi o murach popękanych, bez dachu częstokroć, aż się zupełnie zawali! Tam to dzieciom polskim, uczącym się w moskiewskiej, rządowej szkole, nie wolno między sobą porozmawiać się po polsku, lecz pod grozą kar i wygnania ze szkoły, muszą mówić do siebie po moskiewsku. Tak to ci, którzy nas chcą oczernić przed innymi narodami, sami postępują! A strasznie nie lubią, gdy im kto prawdę w oczy powie. To też jak tylko w gazecie ukazał artykuł posła Dymszy, zaraz wystarali się o to, aby urzędnicy, ci zawsze jednakowi służalcy carscy, skonfiskowali numer dziennika, w którym był wydrukowany. Czynem tym najlepiej dowiedli, że słowa ich były kłamliwe, skoro nie pozwalają odezwać się w obronie i wystąpić z dowodami przeciwnymi. Prawdy bowiem żadne dowody przeciwne obalić nie mogą, kto więc boi się i nie chce odpowiedzi wysłuchać, najwidoczniej kłamał, a przez bojaźń do kłamstwa się przyznał!

Przed wyborami w Chełmszczyźnie. Na mocy osobnego pozwolenia jenerał-gubernatora warszawskiego niebawem w Chełmszczyźnie odbędzie się sześć zjazdów prawosławnych wyborców. Zjazdy wyborców polskich zakazane. Tak się już zaznacza stanowisko rządu wobec Polaków w Chełmszczyźnie, którą Moskale na gwałt chcą uczynić »rdzennie rosyjskim« krajem.

Wybory w Rosyi. Gazety rosyjskie donoszą, że wybory do Dumy w miastach: Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Odesie i Rydze odbędą się przed 25 października, w innych miejscowościach państwa wybory odbędą się w późniejszych terminach. Duma ma być zwołana przed 27 listopada.

Cesarz Wilhelm w Szwajcaryi. W zeszłym tygodniu cesarz niemiecki Wilhelm II bawił w Szwajcaryi na manewrach wojskowych. Cesarza przyjmowały władze szwajcarskie bardzo serdecznie. Wojsko szwajcarskie, stosunkowo nieliczne, ile że Szwajcarya jest małym krajem, wyćwiczone jest jednak wybornie i w sprawności nie ustępuje pierwszym armiom wielkich państw europejskich.

Z Turcyi. Jak wiadomo, rządy wysunęły się obecnie z rąk t. zw. Młodoturków. Starają się oni jednak utrzymać swój wpływ w państwie. Niedawno odbył się w Konstantynopolu kongres Młodoturków w obecności 55 byłych posłów, 4 senatorów i 24 delegatów. Kongres obradował nad sprawą wzięcia udziału w wyborach do parlamentu. Dyskusya była nader burzliwa. Wśród ciągłej wrzawy kongres przez podniesie rak oświadczył się przeciw wzięciu udziału. Po przerwie odbyło się drugie imienne głosowanie, uchwające wzięcie udziału w wyborach. Bardzo jednak jest wątpliwem, czy przy wyborach uzyskają Młodoturcy taką większość, jaką posiadali dawniej i powszechnie sądzą politycy, że ich rządy w Turcyi już się skończyły.

Wybryki „sufrażystek“. Kobiety angielskie, walczące o prawa polityczne, t. zw. »sufrażystki«, ciągle dokonują szalonych wybryków. Z Londynu donoszą, że w nocy przecięto niedaleko Londynu 14 drutów telegraficznych. Na słupach telegraficznych znaleziono pozawieszane kartki z napisami, że czyn ten popełniono z powodu nieprzychylnego stanowiska rządu wobec zwolenniczek prawa głosowania kobiet.

KRONIKA.

(J. K.) **Nowe gniazdo sokole.** W powiecie złoczowskim, w niespełna jednym roku, założono w trzech wsiach trzy gniazda sokole. Jedno w Uszni, drugie w Kutkorzu, a trzecie niedawno powstałe w Wicyniu, na którą to uroczystość przybyli Sokoli ze Złoczowa i Brzeżan, w ogólnej liczbie około 70, którzy byli w kosciele na sumie. Po południu zebrali się wszyscy w czytelni T. S. L., gdzie zgromadziła się wielka ilość gospodarzy. Przybyłych powitał ksiądz tamtejszy, następnie mówił delegat ze Złoczowa i kilku włościan. Wszystkich członków zapisało się 54. Szczęść Boże w nowej pracy!

(W. L.) **Dobry przykład.** W gminie Lubeni, w pow. rzeszowskim, wszyscy chłopi zrobili pewnego rodzaju strajk przeciw żydom. Trwa on już od wiosny. Żaden chłop nie idzie na robotę do żyda, choćby żyd jak najdrożej chciał zapłacić. Gdy się czasem trafi taki, co u żyda pracuje cały dzień, staje się przedmiotem ogólnego pośmiewiska. Na drugi dzień ten chłop już nie idzie robić do żyda, bo się boi i wstydzi. Żydzi teraz muszą z innych wsi sprowadzać robotników i muszą ich drogo opłacać. Byłoby wtenczas dobrze, gdyby wszystkie wioski w Galicyi tak postępowały nie zbogacałyby żydów swoją ciężką pracą, a żydzi wówczas musieliby się wynieść od nas.

(W.L.) **Przejechany przez pociąg.** Gdy Jan Koza, z zawodu murarz, z gminy Gwoźnicy górnej (pow. Strzyżów) wyjechał w miesiącu lipcu do Ameryki na zarobek, znalazł tam w mieście N. Jorku niespodziewaną śmierć. Nieszczęśliwy stał na torze kolejowym, czekając na pociąg, na który miał siadać i w tym czasie został przejechany. Zabity zostawił po sobie niedawno poślubioną żonę, liczył około 26 lat.

(J. K.) **Sejmik poselski.** Dnia 1 b. m, przyjechał do Oleska poseł Władysław Dębski, który w czytelni T. S. L. zdał przed wyborcami sprawozdanie ze swej czynności parlamentarnej. Zebrani wysłuchali je z uwagą, poczem na wniosek jednego z wyborców udzielili posłowi wotum zaufania. — W końcowem swem przemówieniu nawoływał p. Dębski do zgody, gdyż nastają dla nas ciężkie czasy. Przedstawił w serdecznych słowach potrzebę używania mowy ojczystej, oraz wykazał wstyd i zbrodnię narodową tych, którzy zamiast ojczystej, używają obcej mowy.

(J. K.) **Zamknięcie bursy moskalofilskiej.** Przed kilkoma dniami zamknęła prokuratorya państwa bursę w Kamionce Strumiłowej. Działy się tam dziwne rzeczy. Młodzi wychowankowie czytali książki i śpiewali pieśni rosyjskie jak: »Boże cara chrani« (Boże chroń cara), ziejące nienawiścią ku religii katolickiej i Austryi. Nie pierwsza to bursa zamknięta przez władzę. Na utrzymanie tych zakładów płynęły suto ruble rosyjskie. Rząd rosyjski stwarza sobie w Galicyi wśród Rusinów ludzi przychylnych swej sprawie, aby potem mógł przed światem oczerniać lepiej Polaków, którzy niby to męczą Rosyan w Galicyi i by mógł kiedyś pod pozorem tych uciśnionych a nie istniejących Rosyan wyciągnąć zaborczą rękę po nasz kraj, na który od dawna ostrzy sobie zęby.

Zabobony wśród ludu ruskiego. Ze wsi Ostra, we wschodniej Galicyi, donoszą o niesłychanym fakcie ciemnoty, panującej wśród tamtejszego ludu ruskiego. Oto tamtejszy gospodarz, niejaki Dmytro, chorował od dłuższego czasu, a zamiast udać się do lekarza, przywołał sobie wróżbitę, który za wynagrodzeniem sześciu koron przepisał mu receptę na niezwykłe lekarstwo. Rozkazał mianowicie wy-

sypać na piec wór odchodów końskich, w piecu silnie napalić, a drzwi i okna szczelnie pozamykać. Po takiej ciekawej kuracyi Dmytro umarł w dwa dni później. Innego gospodarza bolała długi czas głowa. Za płatną poradą wróżbity oblepił sobie całą głowę ciastem żytniem i naturalnie niemało się nacierpiał, zanim obeschłe ciasto zdołał odedrzeć z wciąż bolącej głowy.

Potworna matka. W gminie Fatinelle, obok Botuszan na Bukowinie mieszkała od lat kilkunastu niejaka Aleksandra Salavostru Mordar, wdowa po wyższym urzędniku, wraz z 21-letnią córką Katinką i dwoma synami: 19 letnim Michałem i 15 letnim Andrzejem. Ponieważ szczupła pensya wdowia nie mogła na rozrzutne życie wystarczyć, przeto przemyślna i lubiąca się wesoło bawić wdowa, celem przysporzenia sobie dochodów, dopuszczała się, przebrana po męsku, wraz z córką Katinką i synem Michałem, przeróżnych kradzieży z włamaniem, a nawet napadów rabunkowych po drogach publicznych. Wskutek swej przebiegłości urządzała się zawsze tak zręcznie, iż nietylko zdołała wywinąć się zawsze z rąk sprawiedliwości, ale nawet i cienia podejrzenia na siebie nie ściągnęła. I kto wie, jak długo jeszcze byłaby swój zbrodniczy tryb życia prowadziła, gdyby nie następujący wypadek, który ją ostatecznie zaprowadził pod klucz.



Kobieta-opryszek, chcąc bandę swą powiększyć, postanowiła wciągnąć do niej także i młodszego swego syna Andrzeja, chłopaka nadzwyczaj utalentowanego i zamiłowanego w muzyce, lecz ten udziału swego w zbrodniach rodziny stanowczo odmówił. Gdy na ponowioną w kilka dni później propozycyę odpowiedział również odmownie, a w dodatku zagroził doniesieniem do policyi, wyrodna matka w obawie, ażeby syn groźby swej rzeczywiście nie spełnił, postanowiła go zamordować. Porozumiawszy się więc ze starszym synem i córką, napadli razem na nieszczęśliwego chłopaka podczas snu w nocy i skrępowawszy go powrozami, zażgali pchnięciami noża w pierś. Następnie, porąbawszy zwłoki siekierą i spakowawszy je do worka, mieli zamiar zatopić je w sąsiedniej młynówce. Lecz zbrodnia miała przypadkowego świadka. Był nim stróż nocny, który trafem znalazł się w pobliżu gniazda zbrodniarzy, i przez okno podpatrzył skrytobójczy mord. Dał natychmiast znać do żandarmeryi, a gdy potworna matka wraz z córką, niosła porąbane i zaszyte w worku zwłoki do młynówki, dwaj stojący na czatach żandarmi, zastąpili im drogę i aresztowali obie zbrodniarki. Obrazek nasz przedstawia tę chwilę.

Wylewy na Bukowinie wyrządziły w zeszłym tygodniu ogromne spustoszenia. Między wielu miejscowościami komunikacya, oraz połączenia telegraficzne i telefoniczne, zostały przerwane. Woda na Prucie w Czerniowcach podniosła się o 1 i pół metra. Ruch kolejowy w wielu okolicach wstrzymany, a pociągi pośpieszne przychodzą z ogromnemi opóźnieniami. Prawie wszystkie drogi są mocno uszkodzone. Wielkie spustoszenia wyrządziły wylewy w wielu gminach okręgu czerniowieckiego. — W kilku dzielnicach miasta Czerniowiec musiano wydalić mieszkańców z szeregu domów. Także z innych stron Bukowiny donoszą o wylewach.

Obchód ku czci ks. Skargi. Z Białej donoszą nam: W niedzielę d. 21 września b. r. urządza tutejsze katolickie stowarzyszenie rękodzielników uroczysty obchód trzechsetnej rocznicy śmierci wielkiego kapłana i miłośnika ojczyzny, ks. Piotra Skargi, z następującym programem: Rano o godzinie 9 zebranie uczestników obchodu na boisku szkolnem przy ulicy Kolejowej, poczem pochód do kościoła parafialnego; o godzinie 10 uroczyste nabożeństwo z kazaniem ks. Dra Szymona Hanuszka z Krakowa; o godz. wpół do 12 powrót z kościoła w tym samym porządku na boisko, gdzie prelegent z Krakowa wypowie rzecz o prasie i przedłoży odpowiednie wnioski. Po południu o godz. 5, w sali hotelu pod Czarnym Orłem uroczysty wieczór ku czci ks. Piotra Skargi. Stowarzyszenie rękodzielników urządzając ten uroczysty obchód, żywi nadzieję, że niezapomniane imię natchnionego proroka narodu pociągnie całą okoliczną ludność polską do wzięcia udziału w uroczystości, która ma godnie uczcić pamięć wielkiego syna Polski i umocnić przywiązanie do Kościoła i Ojczyzny. — Czysty dochód z uroczystości przeznaczy się w połowie na ochronkę polską w Białej, a w połowie na budowę domu stowarzyszenia rękodzielników.

Zabójstwo za 20 halerzy. W Wiedniu aresztowano robotnika bez zajęcia, Schöfla, pod zarzutem, że w marcu b. r. zamordował 15 letniego chłopca, nazwiskiem Ruzalem. Sprowadzony na miejsce czynu, przyznał się Schöffl, że Ruzalema, który mu nie był w możności oddać 20 halerzy, wypoliczkował, a następnie wrzucił do Dunaju, gdzie utonął.

Żywcem pogrzebana. W Dlosgyor (na Węgrzech) zaszedł ostatnimi czasy wypadek, który do żywego poruszył umysły miejscowych mieszkańców. Oto, kiedy miano spuszczać już do grobu ciało wdowy, Joanny Barcik, zerwał się powróz i wskutek upadku odskoczyło wieku trumny. Jakież przerażenie ogarnęło uczestników konduktu pogrzebowego, kiedy pod wiekiem ujrzano siedzącą nieboszczkę. Orszak żałobny na razie rzucił się do ucieczki, a kiedy wrócił, dostrzegł, iż grabarz mimo wysiłku nie mógł ułożyć nieboszczki do snu wiecznego w pozycyi leżącej. Nie można było nawet wieka przybić powtórnie. Stąd zrodziła się pogłoska, iż wdowę żywcem pogrzebano. Niektórzy uczestnicy pogrzebu twierdzą, iż umarła napewno była żywa, gdyż widzieli, jak z ciała złożonego w grobie toczyła się krew.

Nieszczęście na zabawie. W Szabadce, na Węgrzech, podczas zabawy, urządzonej w lesie, maszynista Bakosz, przebrany za niedźwiedzia, zabawiał towarzystwo. Jeden z rozbawionych uczestników zabawy, niejaki Welker, napastowany przez rzekomego zwierza, zawołał na furmana swojego, aby wziął z wozu strzelbę i strzelił do niedźwiedzia, będąc pewnym, że strzelba jest nie nabita. Furman usłuchał, strzelił i położył Bakosza trupem na miejscu, okazało się bowiem, iż ze strzelby nie wyjęto nabojów.

Żydzi w Poznańskiem. Z ogłoszonego świeżo spisu ludności okazuje się znaczny, bo sięgający 25 proc. ubytek żydów z Poznańskiego w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Natomiast daje się zauważyć pewien przyrost ewangielików Niemców.

Pruskie narzekania. W gazetach niemieckich pojawiają się ujadania na Węgrów, którzy madziaryzują niemieckie nazwy miejscowości. Wiedeńskie Towarzystwo celem utrzymania niemczyzny na Węgrzech, ma zamiar wnieść protest do międzynarodowego Towarzystwa pocztowego w Szwajcaryi przeciwko postępowaniu poczty na Węgrzech, która zwraca listy, adresowane do miejscowości węgierskich z nazwami niemieckiemi jako niedoręczalne. Rząd węgierski rozporządził poprzywracać starodawne nazwy węgierskie miejscowościom, które Niemcy, gdy swego czasu trzęśli Węgrami, pozmieniali na niemieckie. Teraz, kiedy Węgrzy mają władzę w tym kraju, chcą starodawne nazwy węgierskie miejscowościom poprzywracać, co się Wszechniemcom nie podoba, więc gazety niemieckie podnoszą wciąż skargi przeciwko węgierskiemu »barbarzyństwu«. Skargi te na Węgrów są u Niemców dowodem brzydkiej obłudy. Toż Węgrzy nauczyli się metody madziaryzowania od Prusaków, którzy niemczą odwieczne nazwy miejscowości polskich. To też wprost śmiesznem jest, gdy niemieckie pisma zdobywają się na czelność wymyślania na Węgrów za to, że ci Niemców u siebie naśladują!

Trujące grzyby. Pisma poznańskie donoszą, że w Wydawach, w powiecie leszczyńskim, zachorowało po spożyciu trujących grzybów jedenaścioro osób z dwóch rodzin rolników Mostowskiego i Michalskiego. Umarło dotychczas ośm osób, a mianowicie: Mostowski, jego żona i troje dzieci, żona Michalskiego i dwoje dzieci. Mostowski miał lat 36, jego żona 37, dzieci były w wieku lat 6, 9 i 12, Michalska miała lat 39, jedno zmarłe dziecko 9 lat, drugie półora roku. Trzy osoby pozostałe z obydwóch rodzin odzyskają zdrowie. Drugi podobny wypadek zdarzył się w Marzeninie, w powiecie witkowskim. Tam zachorowała znowu cała rodzina kowala Wszelakiego, złożona z sześciu osób. Grzybów nazbierała żona jego i 21-letnia córka, która najpierw wzbraniała się zażyć lekarstwa, mówiąc spokojnie: »Jestem główną winowajczynią i dlatego najprzód muszę umrzeć«. Umarła w ubiegłą niedzielę, w poniedziałek umarł 8-letni chłopiec, w nocy 19-letni syn, a 24-letnia córka walczy ze śmiercią. Ojciec ma się dość dobrze, jego żona popadła w obłęd z powodu śmierci dzieci.

Walka z pszczołami. W Jeżewie, w Poznańskiem, zdarzył się dziwny wypadek. Koń przewrócił trzy ule w pasiecie. Rozdrażnione pszczoły rzuciły się na niego i pokłuły go tak, że zdechł. Pasiecznik, który poskoczył na ratunek koniowi, został tak pokłuty, że się śmiertelnie rozchorował. Wszystkie sposoby uspokojenia pszczół były daremne, nawet sikawka nic nie pomagała.

Aresztowanie z przeszkodami. Świadkami niezwykłego widowiska byli przed kilku dniami przechodnie w parku pod Berlinem. Oto z gąszczów wypadł nagle obszarpany włóczęga, a tuż za nim policyant berliński, który ujął zbiega i usiłował nałożyć mu kajdany na ręce. Włóczęga, chłop silny i sprawny, bronił się zacięcie i za chwilę wyrwał się z rąk przedstawiciela władzy, który bez wielkiego namysłu sięgnął po rewolwer i zmierzył do przeciwnika. Już miał pociągnąć za kurek, gdy z poza drzewa wyskoczył nagle żandarm, chwycił policyanta za obie ręce i po krótkiem zmaganiu się nałożył mu kajdanki, odebrał rewolwer oraz szablę i poprowadził do najbliższego rewiru. Scenie tej przyglądał się włóczęga z zupełnym spokojem, po chwili wszakże zaczął prosić żandarma, aby puścił policyanta berlińskiego na wolność. Przechodnie zatrzymali się i w jednej chwili za aresztowanym policyantem i obdartusem szedł tłum ogromny, nie mogąc pojąć, co się stało. W strażnicy policyjnej dopiero pokazało się, że tak włóczęga, jak policyant z przyprawionymi wąsami, są aktorami, którzy zajęci byli właśnie odgrywaniem jakiejś sceny zbójeckiej dla fotograficznego zdjęcia jej.

Wilhelm II i strzelec szwajcarski. Po Szwajcaryi krąży pocztówka, której sprzedaży zabroniono. Na pocztówce tej, pod wizerunkiem cesarza Wilhelma II i szwajcarskiego strzelca, wydrukowana jest następująca rozmowa:

— Bardzo dobrze, mój synu — powiada Wilhelm — jest was sto tysięcy strzelców w Szwajcaryi. Ale jeżeli ja przyjdę z dwustoma tysiącami Prusaków?

— Wówczas każdy z nas strzeli dwa razy!

Zatopieni żołnierze. Podczas ćwiczeń oddziału pionierów holenderskich w pobliżu Utrechtu, wpadło do głębokiego dołu z wodą, przy budowie fortu Possegat, 16 żołnierzy; 10 zdołano uratować, 6 utonęło.

Na granicy życia i śmierci. Belgijski inżynier Van Goeten z siostrą i bogatym francuskim fabrykantem, wybrali się na wycieczkę w Alpy. W powrocie, z powodu zmęczenia, wybrało towarzystwo drogę krótszą, choć bardziej niebezpieczną, przez lodowce. W pewnej chwili pośliznęła się siostra Van Goetena i straciwszy równowagę, poczęła się zsuwać na brzeg kilkusetmetrowej przepaści. Zdawało się, że śmierć porwać ją musi nieuchronnie. Spostrzegł to brat, i w jednej chwili, nie myśląc nawet o niebezpieczeństwie, jakie mu grozić może, rzucił się za siostrą i zdołał ją jeszcze na krawędzi zawrotnej przepaści jedną ręką schwytać za suknię, a drugą oprzeć się na załomie szczeliny. — O wydobyciu jednakże ofiary mowy być nie mogło, gdyż najmniejszy ruch ze strony inżyniera groził nieuniknioną śmiercią rodzeństwu. Trzeci towarzysz widząc to pobiegł po pomoc.



Ośm strasznych godzin przebyli nieszczęśliwi na granicy życia i śmierci! Tysiąc razy poddawali się zwątpieniu, czując ciągły upadek sił i tysiąc razy serce ich przepełniała olbrzymia radość za każdym szmerem, sądząc, że pomoc zbliża się. Po upływie czterech godzin zemdlała Goetenówna i w takim stanie przebyła blisko godzinę. Skoro przyszła do przytomności, błagać poczęła z płaczem brata, by sam się nie narażał dla niej, by ją puścił. Dwa razy uderzała Van Goetenowi krew do głowy skutkiem wysilenia, płaty czerwone migotały przed oczyma, a żyły przerażająco nabrzmiewały. Na pół godziny przed zjawieniem się pomocy, chciał młody inżynier rzucić się ze siostrą w przepaść, ażeby mękom strasznym położyć kres. Skoro przybyła pomoc i uratowała oboje, Van Goeten zemdlał — a gdy przyszedł do przytomności okazało się, że skutkiem strasznego przejścia — oniemiał.

Para staruszków przed ołtarzem. W kościele w Niwce, pod Sosnowcem, zawarli związek małżeński włościanie: 82-letni Ludwiczak i 78-letnia Czerwińska.

Pijaństwo w Rosyi. Rosyjski główny zarząd podatków niestałych i skarbowej sprzedaży trunków ogłosił dane o wynikach finansowych i obrotach skarbowej sprzedaży trunków za rok 1911. Okręg skarbowej sprzedaży trunków (65 gubernij i 10 obwodów, obejmował ogółem 2935 gorzelń, 932 zakładów rektyfikacyi spirytusu i 26,234 sklepów monopolowych. Trunków skarbowych sprzedano 91,657.256 wiader, o 2.107.780 wiader więcej, aniżeli w roku poprzedzającym. Najwięcej wódki na jednego mieszkańca przypadało kolejno w guberniach następujących, w moskiewskiej 1625 wiader, w petersburskiej 1593 wiader i w jekaterynosławskiej 950 wiader. Najmniejsze cyfry w tym kierunku dały gubernie: łomżyńska, płocka, suwalska po 211 wiader na jednego mieszkańca, lubelska, radomska i kielecka po 288 wiader i kowieńska po 311 wiader na jednego mieszkaąca. W Królestwie i na Litwie pito więc znacznie mniej, niż w guberniach rosyjskich. Czysty dochód wyniósł w roku 1911 rubli 697,645,787. We wrześniu roku bieżącego odbędzie się licytacya na dostawę butelek do skarbowych sklepów wódek t. zw. monopolowych. Zarząd rządowej sprzedaży napojów zawiadomił dostawców, że w roku bieżącym potrzebnych będzie butelek za 5,900.coo rubli, podczas gdy w roku ubiegłym zamówiono tylko za trzy i pół miliona rubli. Widocznie rząd liczy na zwiększenie zbytu wódki.

Małżeństwo z przeszkodami. Niezwykłe przygody spotkały pewną młodą parę nowożeńców z małej miejscowości kurlandzkiej w Rydze. Oto gdy para wchodziła do świątyni, ażeby stanąć przy ołtarzu, panna młoda spostrzegła nagle u nóg swoich jakąś ciemną plamę. Schyliła się i wówczas stwierdziła, iż jest to — mysz, która się rozgościła na jej białym pantofelku. Można sobie wyobrazić przerażenie panienki. Z okropnym krzykiem padła na posadzkę, zanim narzeczony mógł zrozumieć o co chodzi. Z trudem doprowadzono ją do przytomności, poczem duchowny dopełnił ceremonii. Następnie nowożeńcy, a z nimi cały orszak, udali się do hotelu na wesele. Skończyła się uczta, poczem młoda małżonka poszła do pokoju swego, ażeby się przebrać do podróży poślubnej. Małżonek oczekując jej, nagle ku swemu przerażeniu ujrzał przez okno, że w jej pokoju powstał pożar. Nie namyślając się, skoczył tam — lecz nie zastał swej żony; — wyjść jednakże nie zdołał, gdyż stracił przytomność. Tymczasem ona, nie wiedząc nic o pożarze, skoro usłyszała o wypadku i o zniknięciu męża, wbiegła do płonącego już na dobre pokoju. Lecz po to tylko, ażeby natychmiast paść bez przytomości obok swego małżonka. Szczęściem zjawiła się w tej chwili straż ogniowa; pożar udało się jej stłumić, zemdloną parę zaś wyniesiono i oddano w opiekę wezwanego lekarza. Nie odnieśli oni żadnych obrażeń, to też po niedługim czasie przywrócono obojgu przytomność, poczem bezzwłocznie udali się na dworzec kolejowy i, nie prześladowani już przez dalsze przeszkody, odjechali — w podróż poślubną.

Niegodziwy skąpiec. Niedawno odkryto w Moskwie straszliwą zbrodnię. Oto na podstawie prywatnego doniesienia władze przeprowadziły rewizyę w domu niejakiego Krugłowa. Rezultat rewizyi przeszedł wszelkie oczekiwania. Oto w jednej z izb, zupełnie ciemnej, znaleziono na gołej podłodze kobietę, przykrytą małem dziecinnem prześcieradłem, zwalanem i zbutwiałem. Kobieta przedstawiała widok grozą przejmujący — włosy na głowie zbite, całe ciało, pokryte ranami i robactwem, przedstawiało się jak jedna masa. Zapomniała mówić i na pytania odpowiadała jakimś zwierzęcym rykiem. Okazało się, że kobieta owa jest żoną Krugłowa. Zapytany, jak długo ją tak więzi, odparł, że od 25 lat trzyma ją w klatce. Przed trzydziestu laty zachorowała. Prowadził ją do lekarzy, lecz oświadczyli, że choroba jest nieuleczalna. Zamknął więc żonę w klatce, nie ma bowiem pieniędzy na szpital, a za darmo nie chcą w szpitalu chorej trzymać. Krugłow jest człowiekiem majętnym; znany jest z niezwykłego, do obłąkania dochodzącego skąpstwa.

Wychodźtwo żydów z Podola przybiera coraz większe rozmiary. Żydzi tamtejsi emigrują po większej części do Palestyny i Argentyny. Miejscowe komitety żydowskiego Towarzystwa kolonizacyjnego, których podobno ma być na Podolu około 100, są zarzucone ofertami żydów, pragnących emigrować. Z miast: Kamieńca, Płoskirowa i Winnicy wyruszają co pewien czas liczne nowe partye wychodźców.

Gospodarka popów rosyjskich. W konsystorzu prawosławnym, we Władywostoku, wykryto szereg bardzo poważnych nadużyć i defraudacyj. Przy ostatniej rewizyi kasy nie doliczono 25 tysięcy rubli. Niebawem miała się odbyć rewizya wszystkich dokumentów w kancelaryi konsystorza. Popi jednak zapalili szafy z dokumentami w rozmaitych pokojach. Aresztowano trzech popów, podejrzanych o nadużycia i podpalenie.

Bomby wśród wiecujących. Lizbona, stolica Portugalii, jak niejednokrotnie pisaliśmy, od czasu rewolucyi nie może się uspokoić. Raz po razu miasto staje się widownią rozruchów, zaburzeń i krwawych scen. Przed niedawnym czasem Lizbona znów przeżyła chwile wstrząśnienia z okazyi burzliwego strajku tramwajowych robotników. Na ulicach ukazały się tłumne pochody strajkujących, w czasie których przyszło do starć z policyą. Gdy strajkujący znaleźli się pod wieczór na jednym z placów, rzucili anarchiści kilka bomb w pośród zgromadzony tłum.



Skutek był straszny. Kilkanaście osób padło trupem na miejscu, kilkudziesięciu zostało silnie ranionych. Powstał straszliwy popłoch. Robotnicy i policyanci rzucili się w pogoń za anarchistami, którzy odstrzeliwali się z rewolwerów. W końcu udało się kawalerzystom pochwycić kilku z pośród uciekających. W czasie walki na rewolwery, jaka się wywiązała między ścigającymi policyantami a uciekającymi anarchistami, padł jeden anarchista, kilku zaś zostało ciężko rannych. Aresztowanych z trudem zdołano uchronić przed wzburzonym tłumem, który chciał im na miejscu wymierzyć doraźną sprawiedliwość.

Powodzie w Anglii. Z różnych stron Anglii i Szkocyi donoszą o ulewach, zwłaszcza ostatnich dni kilka w niektórych okolicach spowodowały powodzie, niszczące zbiory, unoszące bydło i dobytek.

Olbrzymi park. Już przed laty, w roku 1872, kongres narodowy Stanów Zjednoczonych postanowił pewien znaczny obszar dzikiego kraju na północnym zachodzie przeznaczyć na wielki park narodowy, mający służyć za cel wycieczek i rozrywki dla wszystkich obywateli amerykańskich, bez różnicy stanów. Park ów olbrzymi, którego nie może tknąć siekiera, ani broń myśliwego, miał też pozostać na wieczną rzeczy pamiątkę żywym pomnikiem dawnej dziewiczej Ameryki, zanim stała się zaludnioną i fabryczną. W ten sposób powstał wielki park narodowy Yellewstone (czytaj: Jelleston), rozciągający się przeważnie na terenie północno zachodniego stanu Wyoming. Park ten, wznoszący się na gruncie wulkanicznym około 2400 metrów nad powierzchnią morza, jest jednym dziewiczym borem, rozciągającym się na ogromnej przestrzeni 13.000 kilometrów kwadratowych, a urozmaiconym rozmaitemi urwiskami skał, słonecznemi polanami, ślicznemi rzekami, strumieniami i wodospadami.



Dziewiczy ten bór jest pewnym przytulkiem dla wszystkich gatunków dzikich zwierząt i ptactwa, od których roiły się dawne puszcze amerykańskie. Rzeki znów i strumienie pełne są wszelkich rodzajów ryb i wodnych stworzeń — a urwiste skały skrzą bogactwem minerałów. Nie wolno bowiem pod najsurowszemi karami łowić w tym borze, nie wolno nawet ułamać jednej gałązki ze stuletnich drzew i krzewów. Park Yellewstone wolno tylko zwiedzać, aby podziwiać dziki urok pierwotnej puszczy, rojącej się od bawołów, łosi, jeleni, niedźwiedzi, bobrów, i innych zwierząt tępionych na innych obszarach Stanów. Parku Yellewstone, rozciągającego się na terenie kilku Stanów, strzegą pilnie konne oddziały związkowej straży. Rycina nasza przedstawia grupę wycieczkowców, błądzących po dzikich ostępach tego bajecznego parku — wycieczkowcy podziwiają właśnie stadko niedźwiedzi, igrające swobodnie na pięknej polance.

Mądra uwaga Anglika. Przybyła do Gdańska parowcem ze Sztokholmu wycieczka, złożona z 500 Anglików. Podczas oprowadzania przybyszów po mieście, przewodnik Niemiec zaznaczył zarozumiale, że piękność swoją Gdańsk zawdziecza wyłącznie Niemcom. Na to jeden z Anglików odparł natychmiast: »A jednak godne widzenia w Gdańsku są tylko zabytki, zostawione przez Polaków». Wykształcony Anglik znał więc przeszłość Gdańska i rzecz prosta, także historyę Polski, co u cudzoziemców nie często się trafia.

Pocztówki T. S. L. Ciągłe zapotrzebowanie artystycznych kartek powodowało, że do kraju naszego napływały liczne wydawnictwa obce, szczególnie pruskie, które nietylko, że nie mają nic wspólnego ze sztuką, ale niejednokrosnie nadużywają uczuć narodowych. Aby temu zapobiedz, wydaje Zarząd Główny T.S.L. artystyczne pocztówki, według wzorów znanych malarzy polskich.

W roku bieżącym wydano seryę dawnych warowni polskich Trzebińskiego, składających się z 12 następujących warowni, Czorsztyn ruiny zamku, Czorsztyn droga do Niedzicy, Lipowiec, Niedzica nad Dunajcem, Niedołomice, Odrzykoń widok ogólny, Odrzykoń ruiny zamku, Odrzykoń baszta, Szymbark, Tenczynek ruiny zamku, Tenczynek baszta, Wiśnicz i seryę orłów Polskich Radzikowskiego, wzorowanych na zabytkach historycznych. Artystyczne wykonanie i bardzo niska cena (orły po 10 hal., warownie po 12 hal. sztuka), pozwalają mieć nadzieję, że pocztówki te znajdą licznych nabywców. Główny skład w Zarządzie Głównym T. S. L. w Krakowie, Floryańska 15, we Lwowie w Zarządzie Związku Okręgowego ul. Fredry 3, na prowincyi w lokalach Kół T.S.L., tudzież w handlach papieru.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP. Walenty Pasierb w Cz.: Za przesyłkę serdecznie dziękujemy. — Jan Małkowicz w G.: Za słowa pełne uznania szczerze jesteśmy wdzięczni — zwłaszcza, że zapatrywania Pańskie są całkiem słuszne. Zagadki dobre i wszystko będzie, ale kiedy, to my sami nie wiemy, gdyż trudno nam naprzód czas oznaczyć — zwłaszcza że wiele rzeczy dawniejszych czeka swej kolei. Łączymy pozdrowienia. — Marya Wawrzyk w P.: Przesyłamy wyrazy serdecznego współczucia z powodu bolesnego wypadku. Byle rzeczy były dobre — o papier mniejsza. Zagadki będą. — Władysław Łukasik w Z.: Odpowiedzi nie było z winy... wakacyi. Utwory powoli pójdą. — Franciszek Kobiela w Z.: Wydrukujemy, ale kiedy, trudno oznaczyć. — Józef Kaleta w C.: Rzecz za błaha do druku — marki do zwrotu. — Józef Maślanka w T.: Fabryki takiej nie znamy. — Karol Powroźniak w S.: Utwory nieco za długie a oprócz tego »Córka miotlarza« zbyt znane. »Córkę młynarza« umieścimy po opracowaniu do druku. — Michalina Pelczarówna z K.: Cieszy nas bardzo witanie każdego numeru »Roli« z takim zachwytem. Żądany numer odesłaliśmy. — Antoni Madej z I.: Ma Pan zupełną szłuszność, celem »Roli« jest praca dla dobra narodu. — Michał Pikus z W.: Za dwukrotną zmianę adresu należy się 80 halerzy. — Wawrzyniec Marcinkiewicz z W.: Zawsze w czwartek »Rolę« Panu wysyłamy.

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Wojciech Łacki z K. 2 K. — Kazimiera Ciepielowska z S. 1 K. — Sebastyan Curzyłek z N. 1·34 K. — Jerzy Dzida z B. 2 K. — Filomena Kania z F. 4 K. — Kazim. Tworok z Ch. 1·40, Józef Tabaszewski z Ł. 1 K. — Mikołaj Janisz z Ł. 1 K. — Walenty Guc z G. 2 K. — Grzegorz Czerwiński z K. 2 K. — Jerzy Szorotka z G. 2 K. — Jan Tworek z S. 1·34 K. — Jan Bukowiec z K. 1 K. — Ks. Franciszek Miśkowiec z Ch. 1·35 K. — Jan Dziubek z I. 1 K. — Józef Kmieć z Ch. 3 K. — Karol Honkisz z M. 2 K. — Jakób Dreiseifel z S. 1·20 K. — Franciszek Repelowitz z Ch. 4 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 10 września

Pszenica	Kor.	10·60	do	10·95	za 50 kg.
Żyto	„	9·25	„	9·90	„
Jęczmień	„	9·—	„	9·75	„
Owies	„	9·—	„	9·40	„
Otręby pszenne	„	6·55	„	6·65	„
Otręby żytnie	„	6·10	„	6·30	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 10 września:

Buhaje	Kor.	210	do	300	za sztukę
Woły	„	270	„	475	„
Krowy	„	160	„	320	„
Jałówki	„	100	„	220	„
Cielęta	„	38	„	72	„
Owce i kozy	„	19	„	30	„
Świnie bita waga)	„	170	„	190	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożyła Mieczysława z K.).

Liczby	Znaczenie
1 7 4	Owad.
2 5 8	Ryba.
9 3 8	Rzeka.
1 8 4	Zaimek.
1 6 1	Część ciała.
11 2 5 10 4	Droga.
2 12 8	Roślina.
13 1 14 10 4	Mówiący.
8 5 2	Rzeka.
13 4 9 10 15 12 14	Roślina.
15 11 16 4 9	Żołnierz.
6 1 17 5 4	Odbitki.
14 1 8	Zapach.
16 1 18 1 17	Powódź.
6 1 18	Zwierzę.
6 17 10	Głupcy.

Środkowy rząd, czytany z góry na dół, da nazwisko powieściopisarza polskiego i jego powieść.

2. SZARADA.

(Ułożył »Górnik«).

Pierwsza, druga wsteczne obie,
Zadaj bracie ten trud sobie,
I szukaj go w ojców rzędzie,
Gdzie z pewnością ten mąż będzie;
Czwarty, trzeci księżom świeci,
Jako księżyc wśród gwiazd-dzieci,
Nauka, przykładem, cnota,
Znosząc zniewagi z ochotą.
Całość wyspa — kto ją zgadnie
Książkę dostać może snadnie.

3. SZARADA.

(Ułożył »Górnik«).

Pierwsze, trzecie ku Krakowu,
Droga jedzie koło rowu,
Na nich drugi zdążam także
Na wesele Bzdury. Wszakże,
Tam ku uciesze niemałej,
Gościom będę grał na całej.

4. SZARADA.

(Ułożył »Górnik«).

Pierwszego z drugiem w wodach szukamy,
Gdyż jego mięso chętnie jadamy,
Pierwsze i trzecie wiodą do zguby,
Całość, to »pasek« na Śląsku gruby,
Lecz w Galicyi też dobrze znany,
Więc Czytelniku zgadnij kochany.

5. FIGIELEK.

(Ułożył »Górnik«).

Do wójta przychodzi mężczyzna, prosząc go o wystawienie książki robotniczej. Wójt uczyniwszy zadość żądaniu przybyłego, kazał mu się własnoręcznie w książce podpisać, lecz ten, będąc jakiś roztargniony, napisał:

Kra, buda, miecz.

Jaki miał być podpis?

6. SZARADA.

Pierwsza trzecia polska rzeka,
Trzecie drugie wolno ścieka,
Całość dla chorego człeka
Potrzebna jest od wiek, wieka.

7. ZAGADKA.

(Ułożył »Górnik«).

Wprost robotnik, co się z drzewem biedzi,
Wstecz okropny, cały w ogniu siedzi.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 21 września 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 34 »Roli«: 1. Arytmogryf: **Jan Kochanowski**, 2. Zagadka: **Topola**, 3. Łamigłówka literowa: **Miłość rodzi zgodę**, 4. Szarada: **Kapela**. 5. Kwadrat magiczny: **Kruk, ryga, ugor, karp**, 6. Szarada: **Konfitury**, 7. Szarada: **Syreny**.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.: Władysław Sioło z K., Walenty Pasierb z Cz. (wierszem), Adela Bezokówna z K. M., Jan Moś z Cz., Franciszek Teper z M. K., Koło Macierzy szkolnej z S, Jan Babaś z O., Jan Stypuła z L., Józef Adamczyk z S. W., Jaś Pasek Błotnicki z D., Adam Warchoł z Z., Agata Domin z H.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Nędza*** wylosował p. **Jan Stypuła** z L., zaś drugą p. t. ***Z chłopskiej niwy*** p. **Adam Warchoł** z Z.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.